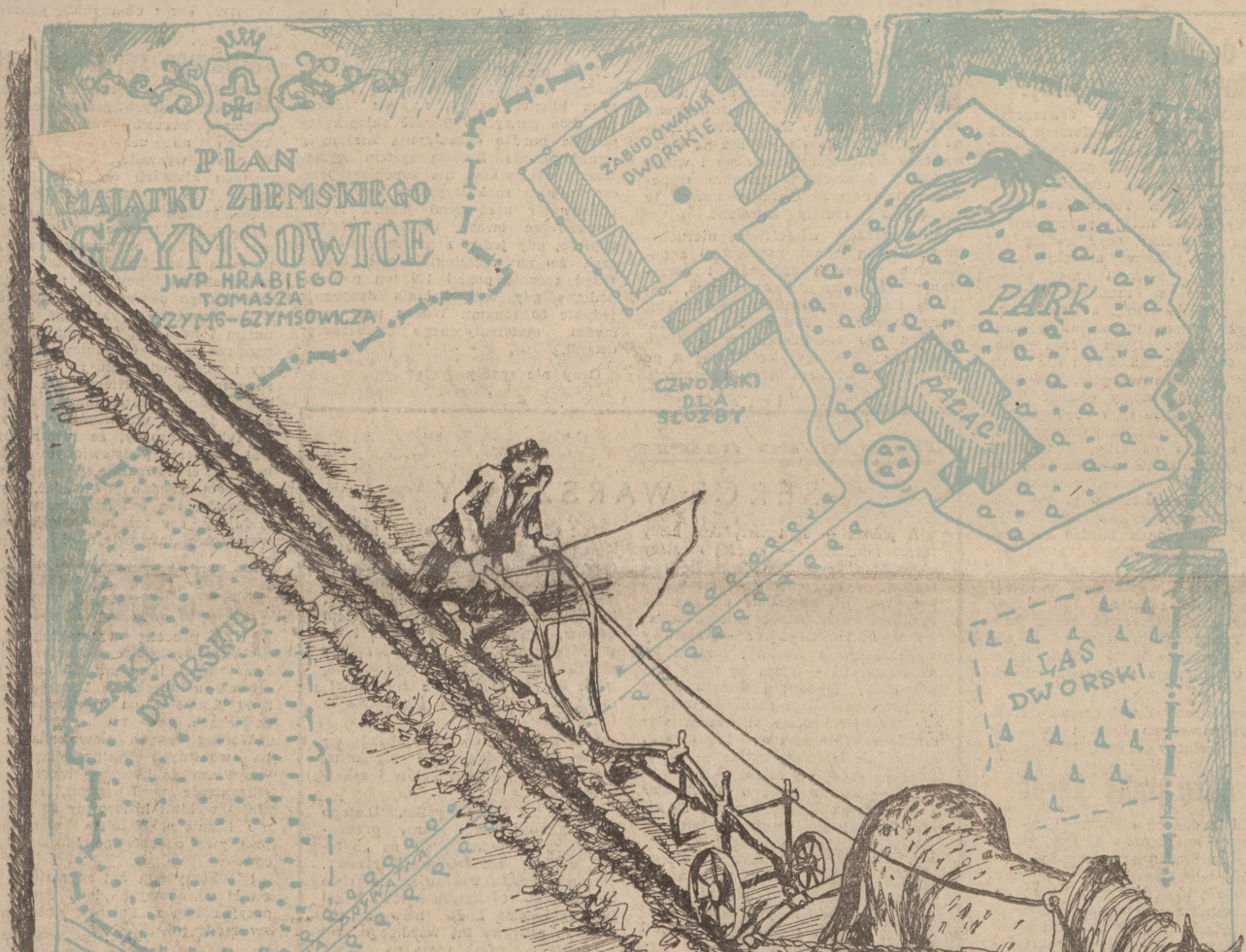
TYDZIEŃ

Nr 36 (60) ROK II

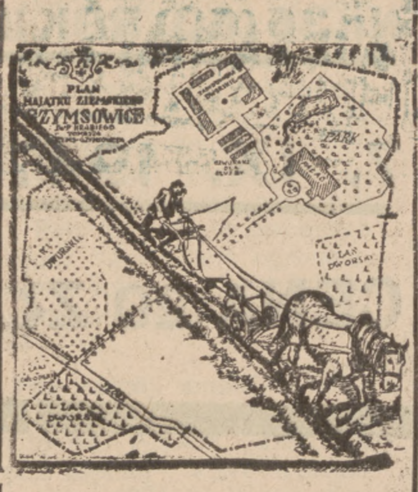
7. IX. 1947

CENA 20 ZŁ



Dziś: Stefan Arski, Tadeusz Łopalewski, Marian Podkowiński, Tadeusz Schiele, Marian Walentynowicz, Laryssa Zajączkowska, Jerzy Zaruba

NASZA OKŁADKA



Rys. B. W. Linke

REFORMA ROLNA

Czy dojdzie do wojny żydowsko-arabskiej?

PRZYWÓDCY arabscy oświadczyli na marginesie prac Komisji ONZ do spraw Palestyny, że na wydzielenie części terytorium jako państwa żydowskiego odpowiedzą otwartą wojną.

Jak donosi „New York Herald Tribune", Żydzi nie liczą się poważnie z realizacją tej groźby, gdyż według ich wyliczeń dwa państwa arabskie z ogólnej liczby siedmiu nie wchodzą w ogóle w rachubę: Yemen, gdyż nie posiada armii, a Transjordania, gdyż jest za utworzeniem państwa żydowskiego. Egipt i Irak posiadają po 40.000 wojska. Żydzi nie cenią żołnierzy egipskich w ogóle, a wojska irackie nie będą mogły opuścić swej ojczyzny ze względu na niepokoje kurdyjskie. Liban posiada 6.000 wojska, ale ze względu na silną mniejszość chrześcijańską, która nie solidaryzuje się z polityką arabską, również to państwo nie przedstawia groźby dla Żydów. Armia syryjska liczy 12.000 żołnierzy, jest jednak bardzo źle wyposażona. Pozostaje Saudia, która dysponuje 7.000 wojska, które jest dobrze uzbrojone i wyposażone w sprzęt techniczny, ale poddani Ibn Sauda musieliby przemaszerować przez terytorium Transjordanii, która na to nie pozwoli, a posiada 15.000 wojska lepiej jeszcze uzbrojonego niż armia saudyjska.

Ze swej strony Żydzi dysponują ok. 40.000 wyćwiczonych ludzi i mają do dyspozycji własny przemysł wojenny.

Za dużo żeby karać

WEDŁUG danych oficjalnych, na 150 tysięcy mieszkańców Bremy, którzy wypełnili kwestonariusze odnośnie ich działalności hitlerowskiej, 30 tysięcy mieszkańców złożyło deklaracje fałszywe. Według regulaminu międzynarodowego za tego rodzaju fałszerstwo grozi wysoki wymiar kary. Władze amerykańskie, uważając za niemożliwe techniczne aresztowanie takiej ilości osób, miały proklamować amnestię.

San Marino

SAN MARINO jest najmniejszą chyba republiką w Europie. Cały jej obszar wynosi zaledwie 100 kilometrów kwadratowych, a chociaż „niezależne państwo" istnieje już 1.600 lat, nie wpisało się niczym szczególnym na karty historii.

W czasie ostatniej wojny 14.000 mieszkańców San Marino korzystało z neutralności do września 1944 roku. W chwili wyzwolenia Włoch przez wojska sojusznicze miejscowa „armia" licząca 900 dzielnych wojaków przyłączyła się do oddziałów włoskich walczących u boku 8-ej armii brytyjskiej, aby wyrównać wkład wniesiony przez 800 ochotników do szeregów faszystowskich.

Obecnie San Marino postanowiło ściągnąć na siebie uwagę świata i zwróciło się do Sekretariatu O. N. Z. z zapytaniem, w jakim trybie może się ubiegać o członkostwo Narodów Zjednoczonych. Jest to prawdziwa wyprawa Gullivera do kraju olbrzymów.

tak i nie

Skomplikowana polityka

KRÓL arabski Ibn Saud przesłał przywódcy hinduskiemu Jinnah telegram gratulacyjny z okazji decyzji utworzenia czysto muzułmańskiego Pakistanu. Mało tego, ruchliwy monarcha arabski wysłał specjalnego pełnomocnika do dwóch książąt hinduskich, którzy nie chcą się zgodzić na włączenie swoich „państw" ani do Hindustanu, ani do Pakistanu.

Saudia jest terenem naftodajnym, eksploatowanym przez kapitał amerykański, podobno zaś na terytorium obu książąt hinduskich również istnieją niezbadane jeszcze pokłady nafty. Taki związek przyczyny wydaje się prosty i zrozumiały. Jak jednak wytłumaczyć okoliczność, że nadzwyczajnym ambasadorem Ibn Sauda, jest Mr. John Philby, Anglik?

Wolnoć Tomku

RZĄD Stanów Zjednoczonych zniósł ochronę lokatorów, wprowadzoną za życia prezydenta Roosevelta. Ochrona ta polegała zresztą jedynie na ograniczeniu wysokości komornego i wprowadzeniu ustawowego terminu wypowiedzenia najmu. Obecnie nawet te ograniczenia zostały zniesione.

Amerykańscy właściciele nieruchomości nie są jednak zadowoleni z pobierania wysokich czynszów i korzystając z kryzysu mieszkaniowego, stali się nagle zwolennikami spółdzielni mieszkaniowych. Wydaje się to paradoksem. Ale spółdzielnia w wydaniu kamieniczników amerykańskich jest po prostu wydrwieniem idei kooperacji.

Właściciel domu po prostu ogłasza że postanowił przekształcić swoje kamienice w spółdzielnię. Kto chce nadal mieszkać, musi kupić mieszkanie na własność za określoną przez kamienicznika cenę. Kto nie ma pieniędzy, może się wyprowadzić. A ustawodawstwo amerykańskie powiada na to: „Wolnoć Tomku w swoim domku".

Arytmetyka i gubernator

FALA spekulacji dotarła nawet do Nyassaland, jednej z wielu kolonii angielskich w Afryce. Celem przeciwdziałania potężniejszej fali drożyzny gubernator kolonii wydał zarządzenie, aby wszystkie sklepy wystawiały rachunki na każdy sprawunek.

Nyassaland liczy jednak ponad 5.000 małych sklepików tubylczych, w których klienci wydają na raz jednego lub dwa pensy. Większość sklepikarzy posiada bardzo ograniczoną znajomość sztuki pisania. Zresztą system wystawiania rachunków nie zapobiegł jeszcze nigdy spekulacyjnym zwyżkom. Gubernator nie chciał jednak zrezygnować ze swego pomysłu. Ustąpił dopiero, gdy jeden z urzędników obliczył, że na rachunki trzeba będzie zużyć rocznie ponad 100 ton papieru, podczas gdy cała kolonia dysponuje jedynie 50 tonami. Wobec tego argumentu matematycznego gubernator ustąpił.

Ceny nie spadły.

Ostrze na ostrze

SERCE WARSZAWY

A jednak — są tematy dnia kiedy furror felietonica — inaczej rzekłszy chroniczna pasja pastwienia się nad ludźmi i zdarzeniami — blednie i przygasa, jak angielskie nadzieje na bezinteresowną pomoc amerykańskiego wujaszka. Gryzipiór — zjadliwy wszędobylski a złośliwy, niczym jesienna mucha — staje się nagle nieszkodliwy, łagodny i sentymentalny na podobieństwo prarodziców w raju, lub współplemieńców Hitlera w wyobrażeniu zachodnich filantropów. Ostrze nie trafia na ostrze — zawadziło po drodze o serce.

Bo — jak tu pisać o Warszawie? I o czym pisać, gdy zaczyna się nabrzmiały wspomnieniami wrzesień — jak nie o Warszawie?

Bo — tak, jak w starej piosence ubiegłego stulecia, którą przypomniała warszawiakom Mira Zimińska w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru" „mówili nie ma Warszawy, a tu jest Warszawa..."

Bo — jak by też mogło jej nie być? Przecież świat byłby pusty.

Wiem, znam wielką, nieogarnioną pustkę tych wszystkich innych miast, w których w kraju i za granicą błąkają się warszawskie serca. Pustkę wspaniałego Londynu i pustkę uroczego Paryża. W Paryżu — ville-lumiere — ludzie pytają: „Czy dziewiątka jeździ Alejami...?" Bardzo się martwią, gdy się odpowiada, że BOSkim rozkazem — nie. Niestety tak jest, że te prawa BOS-kie i ludzkie tęsknoty chadzają innymi drogami.

Często tęsknota bywa silniejsza. I wtedy — wbrew wszystkim zakazom i uchwałom czcigodnych władz miejskich, nic nie powstrzyma chorego na warszawską gorączkę człowieka od porzucenia wygodnych pieleszy w miastach, gdzie grzecznym, równym rządkiem stoją całe domy i od powrotu do miasta, gdzie nic nie dzieje się tak, jak w normalnym, zwykłym mieście dziać się powinno.

Okazuje się wówczas, iż wbrew wszelkim prawom natury, pojemność okaleczonego miasta jest równie wielka, jak ludzka do niego tęsknota. Zahartowana przez najazd teutoński, równie bohatersko przetrwała Warszawa najazd urzędów, instytucji i oraz skoncentrowany atak wydawniczo - kulturalny. I sądzę, iż nie należy się temu przeciwstawiać.

Jest bowiem pewna logika, która z logiką urzędowych wyliczeń kubatury na głowę mieszkańca nie ma nic wspólnego. Jest to logika atmosfery miasta, która jest jego istotną treścią. Bo Warszawa jest nie tylko miastem domów, które zresztą rosną teraz wśród gruzów, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszędzie tam, gdzie do niedawna ćwierkały świerszcze w gęstej trawie. Warszawa to także miasto ludzi.

Odradzają się ulice. Odrodził się Nowy Świat. Odbudowała się Jasna. I wiele, wiele innych kątów i zakątków.

Ale to nie jest wszystko. Dlatego nie rozumiem ludzi, którzy grzmiącym głosem oburzają się na „Syrenę", dziecko nieodrodne Warszawy, jak sama nazwa wskazuje, że chce powrócić do rodzinnych kątów. Z kulturą regionalną Łodzi niewiele ten teatrzyk rewiowy ma wspólnego...

Oburzają się tak samo na „Szpilek", które przecież w Warszawie ujrzały światło dzienne i dopiero sobie zasłużyły na obywatelstwo miasta stołecznego. Wracają z wygnania. Powinny wrócić. Mają do tego prawo.

Cieszmy się, że odradza się i powraca niezapomniana, nigdzie nie mająca takiej gleby i takiego powietrza jak tu, w Warszawie, warszawska muza, warszawska cyganeria literacka i artystyczna, warszawski humor. Trudno im żyć gdzie indziej, tak jak nie pozwoli się przesiedlić nawet na Ziemie Odzyskane panawiechowy Piecyk ze swym szwagrem Piekutoszczakiem.

Cieszymy się z tego. Tak, jak cieszymy się ze stuku żołnierskich kilofów i łopat przy odbudowie Teatru Wielkiego. Jest w Warszawie miejsce dla sztuki. I tej przez wielkie S i tej, która kocha swe miasto i tęskni do niego w lekkiej, frywolnej piosence, kpi z rzeczy nieraz poważnych, aby należyta miara wszystkiego była zachowana — ażeby sprawy poważne nie przerosły, jak ciasto, któremu przerost nadmierny podobno szkodzi.

Warszawa też tęskni do swoich dzieci, zagubionych po świecie. Warszawa ma serce otwarte. Nie zamykajmy go.

Avis

Legendarny pułkownik

WIOSNĄ 1943 roku grupa oficerów sztabowych armii gen. Eisenhowera wypoczywając w Północnej Afryce po trudach kampanii, w oczekiwaniu na dalsze kroki wojenne postanowiła ożwić nieco monotonne wieczory w kasynie.

Wykonali swój zamiar przez puszczanie najrozmaitszych plotek i domysłów o najbliższych zamierzeniach najwyższego dowództwa, przy czym źródłem informacji miał być pułkownik Hamilton Fourbee. Plotki, jak to zwykle bywa, również wśród sztabowców znajdowały posłuch i obiegały lotem błyskawicy. Osobą pułkownika Fourbee zainteresował się również generał z wywiadu wojennego i polecił zbadać wykaz imienny oficerów armii brytyjskiej i amerykańskiej w poszukiwaniu winowajcy.

Gdy jeden z wtajemniczonych zwrócił mu uwagę, że nazwisko jest po prostu naśladownictwem nazwy popularnego klubu oficerskiego „Four Be" (po angielsku cztery B — brzeg, befsztyk, bar i blondynki), generał był podobno bardzo zgorszony.

Manowce sprawiedliwości

BELGOWIE przestali się interesować losem byłych gestapowców i donosicieli, pozostających w latach okupacji na usługach niemieckich. W chwili wyzwolenia zamknęli ich w pustych klatkach ogrodów zoologicznych. Dziś w rozmowach potocznych często jeszcze wyrzekają na sprzedawczyków, jeśli jednak zapytać się o ten czy ów proces omawiany przez prasę, machają ręką. Dzieje się tak od chwili uniewinnienia pewnego przemysłowca, oskarżonego o współpracę gospodarczą z Niemcami. Fabryka jego pracowała dniem i nocą dla Wehrmachtu. Wszyscy robotnicy, urzędnicy, magazynierzy i woźni wiedzieli, że towary przeznaczone są dla Niemców i że są im bezpośrednio dostarczane. Fabrykant został jednak uniewinniony, gdyż był na tyle przezorny, że towar sprzedawał najpierw podstawionym pośrednikom, a ci formalnie odstępowali go Niemcom. Trudno powiedzieć, czy przemysłowiec ten był istotnie tylko przewidujący, czy też sąd belgijski okazał wyjątkowo łatwowierność.

Ilu jest Niemców w Hiszpanii?

DUŻY procent wszystkich wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych Hiszpanii znajduje się w rękach niemieckich. Pracuje w nich 2.000 Niemców na kierowniczych stanowiskach.

Według danych amerykańskich liczba wybitnych hitlerowców, przede wszystkim naukowców, którzy znaleźli schronienie w Hiszpanii, sięga 2.200. Mniej wybitni hitlerowcy są odpowiednio liczniejsi. Ogółem w Hiszpanii przebywa obecnie ponad 80.000 Niemców.

Nie korzystają oni ze statutu mniejszości narodowych lecz dzięki swym przyjaciołom z „Falangi" należą do kasty rządzącej.

Droga herbata

WIELKIE zmartwienie czeka zamiłowanych w herbacie Anglików. Znoszą coraz to większe restrykcje importowe, zmuszeni byli ograniczyć palenie wobec podniesienia ceny papierosów do nienotowanej wysokości. Obecnie zaś przybywa im obawa przed podniesieniem cen herbaty. Wprawdzie głównym dostawcą jest wyspa Ceylon, rządzona jeszcze wciąż statutem kolonialnym, nie może to jednak zmienić faktu, że produkcja światowa herbaty jest dziś mniejsza od możliwości zbytu i wzrosły koszty robocizny przy zbiorze herbaty, wywołane zwyżką kosztów utrzymania. Wypadnie więc bądź wyrzec się lub ograniczyć spożycie przysłowiowej „cup of tea" i pobudzających właściwości herbaty.

Warto przypomnieć legendę japońską o powstaniu herbaty. Przed czterema tysiącami lat buddyjski duchowny, imieniem Bodhidharma, złożył ślubowanie, że nie zaśnie w ciągu lat siedmiu. W piątym roku opadła go tak przemożna senność, że odciął sobie powieki. Rzucone na ziemię, zapuściły korzenie. Urzeczony tym cudem Bodhidharma sporządził wywar z liści nowej rośliny i wypił go, co pozwoliło mu na spełnienie ślubu. Tak powstała herbata.

AKT SPRAWIEDLIWOSCI DZIEJOWEJ

„Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny ped chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej".

(Z Manifestu PKWN)

„Reforma Rolna w Polsce jest koniecznością państwową i gospodarczą i będzie zrealizowana przy udziale czynnika społecznego zgodnie z zasadami Manifestu PKWN.

Ustrój rolny w Polsce oparty będzie na silnych, zdrowych i zdolnych do wydatnej produkcji gospodarstwach, stanowiących prywatną własność ich posiadaczy".

(Artykuł 1-szy Dekretu PKWN z dnia 6 września 1944 r. o wprowadzeniu Reformy Rolnej).

TE DOBITNE, jasne sformułowania zawarły w sobie całą istotną treść polskiej chłopskiej rewolucji, która narówni z rewolucją robotniczą, unarodowiającą zakłady przemysłowe dokonała zasadniczego przewrotu w strukturze gospodarczej naszego kraju.

Sformułowań w sprawie reformy rolnej w Polsce nie brakło w dziejach naszej myśli politycznej — żądania te jednak nie wyszły nigdy niestety poza ramy właśnie — sformułowań. Były rezolucje — nie spełniła ich żadna rewolucja. Nieśmiałym próbom brakowało męskiego rozmachu i siły zbiorowego czynu.

Naród polski przypominał człowieka, noszącego w sobie śmiertelną chorobę — chorobę, przyprawiającą o zgubną niemoc w chwilach, gdy potrzebna była cała moc organizmu, aby ratować jego byt i życie. Stąd dwoistość naszej historii — nazewnątrz chwała i klęski oręża, pakty, przymierza i polityczne intrygi wielkich dworów i wielkich panów, sejmy i sejmiki, dynastyjne walki, wzloty i upadki i — powstania. Wewnątrz organizmu narodowego, na dnie wszystkich spraw i wydarzeń — ropiejąca rana, chłopska krzywda, haniebne warunki bytu 70-ciu procent społeczeństwa, któremu odjęto poczucie obywatelstwa.

CÓŻ TO jest za naród, w którym tyle liczyć można ludzi wolnych, ile jest szlachty... reszta ludzi są to niewolnicy, których ojczyzna przez żaden sposób obchodzić nie może", — pisał Hugo Kołłątaj.

Nie mogło się ustrzec takie państwo przed zagładą. Bierność mas ludowych zaciążyła na długo nad losem narodu, którego szczupła tylko warstwa bardziej uświadomionej szlachty i mieszczaństwa raz po raz chwytała za broń, aby odzyskać niepodległość.

Niektórzy przeczuwali, niektórzy znali źródło tej niemocy i niepowodzeń. Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z roku 1836 głosi: „Jeżeli nowe powstanie nie ma być smutnym dawnych powstań powtórzeniem, pierwszym do boju hasłem winno być usamowolnienie ludu, oddanie wydartej mu ziemi na własność bezwarunkową...".

STAJE przed narodem pytanie: albo rozwiązać kwestię chłopską, porywając masy ludowe do walki z zaborcami, albo — wlec w nieskończoność nieudolne próby, nieuchronne klęski, niekończące się i bezowocne kompromisy z zaborczością sąsiadów. Klasowe interesy szlachty, posiadaczy, każą wybrać drugą drogę. Nie potrafił zepchnąć z tej drogi narodu polskiego Kościuszko, ani demokraci Powstania Listopadowego, ani też postanowienia i wysiłki „Czerwonych" w Powstaniu Styczniowym. Nie zmienił sytuacji na lepsze akt uwłaszczający chłopów z łaski caratu w 1864 roku — nie zmienił bowiem i nie mógł zmienić stosunku chłopa do sprawy narodowej — sprawy niepodległości Polski.

Świadomość patriotyczna zaczyna kształtować się dopiero pod wpływem postępowych, lewicowych ruchów ludowych i robotniczych.

PIERWSZY wyłom w kwestii chłopskiej, wyłom w interesach obszarniczych, jakim stał się dekret o reformie rolnej, uchwalony po pierwszej wojnie światowej, zostaje rychło przez polską reakcję, odrodzoną i dopuszczoną napowrót do władzy — zamurowany. Nie tylko stępiono ostrze uderzenia reformy, ale co gorsza, ostrze to skierowano przeciwko chłopom. Ustawowo ograniczone tempo nadziału ziemią dałoby w efekcie zakończenie reformy w roku... 1990-tym, spłaty zaś na rzecz dziedziców, o wiele przewyższające możliwości płatnicze chłopów, ciągnęłyby się aż poza rok 2050-ty.

Charakterystyczne, nie wymagające komentarzy, są cyfry tego okresu. Dochód roczny brutto przeciętnego gospodarstwa małorolnego (2.1 ha) wynosił 470 zł. Ten sam dochód gospodarstwa obszarniczego — 54.054 zł. Zarobek dzienny członka rodziny chłopskiej wynosił 15 gr dziennie. 21 milionów chłopów uprawiało obszar, równy ziemi, pozostającej własnością 19.000 rodzin obszarniczych. Przeszło 2,5 miliona rąk roboczych na wsi daremnie czekało na pracę i zarobek.

TAK BYŁO. I potrzeba było dopiero wojny, zburzenia aż do fundamentów starego porządku rzeczy, zwycięstwa koncepcji polskiej demokracji ludowej, by nastąpiła realizacja pełnego prawa chłopa do ziemi. Pełnego w tym sensie, iż dającego mu istotną możność samowystarczalności gospodarczej i rozwoju kulturalnego — pełnego w sensie całkowitej równości przed prawem i państwem.

Skutki reformy rolnej, jej znaczenie dla dalszego rozwoju kraju nie są i nie mogą być w tej chwili wymierne. Zniszczenia wojenne i trudności powojennego okresu przesuwają na dobrych lat parę w przyszłość widome rezultaty tego, największego w dziejach Polski przewrotu ekonomicznego, zwycięstwa większego, niż jakikolwiek triumf oręża — zwycięstwa świadomej woli ludu.

Na razie suche cyfry, poza którymi narasta nowa, wspaniała treść, pozwalają nam objąć ogrom dokonanej pracy. 841.599 rodzin chłopskich otrzymało ziemię. Biorąc pod uwagę przeciętnie 4-ro osobowe rodziny chłopskie, daje to w sumie 3 miliony 400 tysięcy osób, które skorzystały z reformy. Rozparcelowano i nadzielono pomiędzy ludność wiejską łącznie ponad 5 milionów 600 tys. ha, tworząc przeciętny typ gospodarstwa rolnego o obszarze od 5 do 10 ha na ziemiach dawnych i do 15 ha na Ziemiach Odzyskanych.

JEST to jednakże pierwszy dopiero krok. Urzeczywistnienie reformy rolnej nie polega na mechanicznej funkcji podziału ziemi, odpowiadającego nowoczesnej gospodarce rolnej.

Nie jest to też cel ostateczny naszej polityki gospodarczej. Jest to dopiero środek, zmierzający do celu, jakim jest podniesienie poziomu życia człowieka. Reforma rolna — to oświata dla wsi, rozwój spółdzielczości wiejskiej, rozwój przemysłu spożywczego i przemysłu, dostarczającego nowoczesnych narzędzi pracy na roli, reforma rolna — to nowoczesne budownictwo wiejskie, to opieka zdrowotna i społeczna, to szeroka pomoc kredytowa, sięgająca w bieżącym roku budżetowym kwoty 2.421 milionów złotych.

Reforma rolna to wysiłek nie tylko rządu, nie tylko praca samego chłopa, — to praca i wysiłek całego społeczeństwa nad utrwaleniem aktu dziejowej sprawiedliwości.

LARYSSA ZAJĄCZKOWSKA

Film TYGODNIA

ROZPOCZĘCIE MIESIĄCA ODBUDOWY WARSZAWY



Prezydent Bierut wziął udział w odgruzowaniu rynku Starego Miasta.

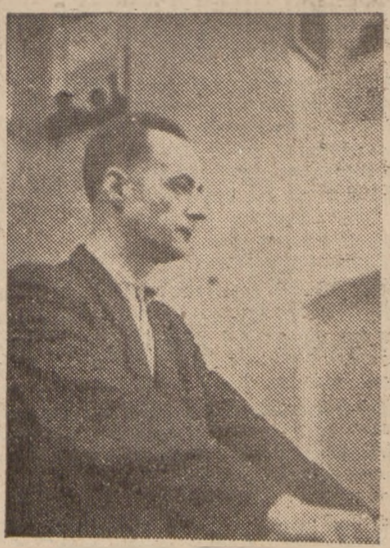


Fot. Film Polski

Widok rynku Starego Miasta podczas prac oczyszczających.



Osk. Buczek, redaktor krakowskiego „Piasta" na ławie oskarżonych.



Fot. Film Polski

Komendant Główny WiN Niepokólczycki składa zeznania.



Fot. Film Polski

W wyścigu o „Grand Prix" 1947 — Warszawa nie brakło wypadków — szczęśliwie bez specjalnych obrażeń. Winnicki (MKS Sopot) rozbił motocykl na wirażu na słupie telefonicznym. Po wypadku, motocykl wyprostował i pojechał dalej.

AMERYKA W PRZEDEDNIU WIELKIEJ GORĄCZKI

NAPISAŁ SPECJALNIE DLA „TYGODNIA" STEFAN ARSKI, STAŁY KORESPONDENT „ROBOTNIKA" W AMERYCE

New Jork, we wrześniu

„Wielka gorączka" ogarnia Amerykę raz na cztery lata, „mała gorączka" — raz na dwa lata. Bo co cztery lata, w listopadzie, Stany Zjednoczone wybierają nowego Prezydenta. A co dwa lata odbywają się wybory do Kongresu czyli parlamentu amerykańskiego.

Wybory najbliższe odbędą się w listopadzie roku przyszłego. Dzieli więc nas od nich ponad rok. Ale kampania wyborcza jest już właściwie w toku. A od pierwszych dni stycznia roku 1948 całe życie polityczne Stanów znajdzie się pod znakiem walki o wstęp do Białego Domu. „Wielka gorączka" trwa bowiem niemal cały rok, choć, oczywiście, największe jej natężenie przypada na końcowe miesiące kampanii.

Znaczenie wyborów 1948 roku

Kampania wyborcza roku 1948 zapowiada się szczególnie gorąco. Będzie ona generalną próbą sił między Partią Demokratyczną która od lat piętnastu niepodzielnie sprawuje rządy w Stanach Zjednoczonych, a Partią Republikańską, która po sromotnej klęsce roku 1932, spożywa nieprzerwanie gorzki chleb opozycji. Przygrywką do tej kampanii były już zeszłoroczne wybory do Kongresu. Dały one wtedy po raz pierwszy od roku 1932 większość w Kongresie Republikanom. Ale w systemie amerykańskim rządzi Prezydent i powołany przezeń gabinet, który nie jest przed Kongresem odpowiedzialny. Wskutek tego władzę nadal sprawuje Partia Demokratyczna w osobie prezydenta Trumana. Tyle tylko, że w opanowanym przez Republikanów Kongresie natrafia na olbrzymie przeszkody i trudności.

Wybory roku przyszłego mają zlikwidować tę niewygodną sytuację. Ponieważ zbiegną się wtedy wybory na Prezydenta i wybory do Kongresu, przeto zwycięstwo jednej z dwu współzawodniczących partii zdecyduje zarówno o obliczu władz ustawodawczych, jak i o obliczu władz wykonawczych.

Partia Republikańska jest przeświadczona, że uda jej się uzupełnić swe zeszłoroczne zwycięstwo i opanować zarówno Kongres jak i Biały Dom. Partia Demokratyczna żywi natomiast nadzieję, że uda jej się zachować prezydenturę i odbić Kongres Republikanom. Sytuacja polityczna jest w tej chwili dostatecznie zagmatwana, by trudno było najbardziej nawet bezstronnemu obserwatorowi przesądzić, które z tych nadziei się urzeczywistnią i kto rządzić będzie Stanami w czteroleciu 1949 — 1953.

Mozaika polityczna Ameryki

Utarł się w krajach europejskich pogląd, że w gruncie rzeczy nie ma zasadniczych różnic pomiędzy Partią Republikańską a Partią Demokratyczną, i że w istocie jest obojętne, która z nich dorwie się do władzy. Twierdzenie to jest równocześnie słuszne i niesłuszne. W ciągu lat trzynastu, za czasów prezydentury Franklina Delano Roosevelta, Partia Demokratyczna stała się narzędziem walki o postęp społeczny, o demokrację i o pokojowe współżycie narodów. Była w tym okresie zupełnym przeciwieństwem Partii Republikańskiej, która stała się symbolem reakcji, zacofania i izolacjonizmu w polityce międzynarodowej. Był to więc okres wyraźnego zróżniczkowania politycznego obu wielkich partii.

Dziś, jak i w wielu innych okresach historii Ameryki, sytuacja przedstawia się odmiennie: Partia Republikańska zachowała i pogłębiła swe reakcyjne nastawienie; w Partii Demokratycznej wzięły również górę żywioły prawicowe i reakcyjne. Różnice zasadnicze między obu partiami uległy w znacznym stopniu zatarciu. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że wskutek tego przebieg i wynik wyborów amerykańskich jest zgoła obojętny i z góry przesądzony.



HARRY TRUMAN

Mimo ewolucji Partii Demokratycznej w kierunku reakcyjnym, mimo pozornego zbliżenia ideologicznego między obu wielkimi partiami — w życiu politycznym Ameryki rysuje się wyraźnie coraz ostrzejsza walka i coraz ostrzejsze linie podziału między rozmaitymi odłamami społecznymi, rozmaitymi obozami ideologicznymi i — co najważniejsze — między rozmaitymi interesami warstw i grup społecznych. Tylko że linie frontów walki nie zbiegają się bynajmniej z liniami przynależności partyjnej, lecz przecinają się nawskroś. I tym się właśnie różni życie polityczne Ameryki od życia politycznego Europy. I stąd płyną tak liczne nieporozumienia przy ocenie sytuacji politycznej w Stanach Zjednoczonych.

Mozaika polityczna Ameryki jest inna i trzeba ją starannie rozwikłać, by zrozumieć sens wydarzeń na drugiej półkuli.

Republikanie i demokraci — reakcjoniści i postępowcy

Odrzucając na chwilę linie podziałów partyjnych, dostrzeżemy w życiu politycznym Ameryki kilka wyraźnych zgrupowań. Będą one różne w odniesieniu do zagadnień wewnętrzno - politycznych i zagadnień międzynarodowych. Z grubsza biorąc, w sprawach wewnętrzno politycznych Stany rozpadają się na dwa obozy zasadnicze: obóz postępowy, reprezentujący tradycje rooseveltowskiego „Nowego ładu", i obóz reakcyjny, głoszący hasła anty-robotnicze i dążący do przywrócenia w Stanach nieskrępowanej władzy wielkiego kapitału. W grupie postępowej znajdą się amerykańskie związki zawodowe, postępowe odłamy Demokratów i mniej liczne, ale istniejące postępowe grupy Republikanów. W grupie reakcyjnej znajdą się konserwatywni Demokraci (głównie ze stanów południowych, które są twierdzą zacofania i reakcji amerykańskiej), oraz znakomita większość Partii Republikańskiej.

Ale i tu sprawy się o tyle komplikują, że w poszczególnych, konkretnych sytuacjach zarówno szary obywatel jak polityk amerykański często przerzuca się z jednego obozu do drugiego, w zależności od nakazów interesu klasowego, sympatii, tradycji, a nawet fantazji. Bo życie polityczne jest daleko bardziej płynne niż w Europie i związki ideologiczne znacznie słabsze

Inaczej nieco przedstawia się sytuacja, gdy chodzi o zagadnienia polityki międzynarodowej: tu istnieją już nie dwa, lecz trzy zasadnicze ugrupowania. Pierwszym z nich jest ten odłam społeczeństwa amerykańskiego który wypowiada się za pokojową współpracą wielkich mocarstw, a przede wszystkim za współpracą amerykańsko - radziecką, oraz za popieraniem rzeczywistym, a nie słownym Organizacji Narodów Zjednoczonych. Moglibyśmy obóz ten nazwać obozem postępowej polityki zagranicznej.

Po drugiej stronie barykady znajdą się wtedy zwolennicy imperialistycznej polityki amerykańskiej, którzy pragną wyzyskać potęgę gospodarczą Stanów Zjednoczonych do podporządkowania sobie całych połaci globu ziemskiego. Ci to właśnie ludzie popierają interwencję amerykańską w Grecji i Turcji, oni dążą do uzyskania dominującego wpływu w Chinach poprzez wspieranie skorumpowanych i znienawidzonych przez cały naród chiński rządów Czang - Kai - Szeka. Oni wreszcie zmierzają do odbudowy przemysłowej potęgi Niemiec, w nadziei, że przemysł niemiecki stanie się terenem przenikania kapitału amerykańskiego.

Moglibyśmy ten odłam, określić mianem reakcji. Ale określenie to byłoby niedostateczne. Bo istnieje jeszcze jeden odłam reakcyjny w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, i to odłam wcale silny i rosnący z każdym miesiącem. Odłam ten — to izolacjoniści.

Izolacjoniści amerykańscy równie serdecznie nienawidzą ruchów ludowych w Europie i Azji, równie panicznie się ich boją i równie zachłannie patrzą na rynki i surowce zagraniczne. Ale uważają, że najlepszą drogą do osiągnięcia ich zamierzeń jest pozostawienie Europy i Azji ich własnemu losowi. Sprzeciwiają się zarówno zbrojnej jak i ekonomicznej interwencji Stanów Zjednoczonych w krajach zamorskich, odmawiają pomocy kredytowej państwom Europy, ale piętnują także finansowanie rządów greckiego królika i tureckiego dyktatora. Krótko mówiąc, pragną wycofać się z czynnej polityki zagranicznej i wrócić na tradycyjne niegdyś pozycje biernego izolacjonizmu.

Ten zgrubsza tu nakreślony podział społeczeństwa amerykańskiego na obozy polityczne komplikuje się jednak jeszcze bardziej. Bo gdy bliżej przypatrzeć się praktyce politycznej Ameryki, okaże się, że nie ma wspólnego mianownika w ustosunkowaniu się wyborcy amerykańskiego do spraw polityki wewnętrznej i zagranicznej. I tu zaczynają się dziwne i na pozór niezrozumiałe paradoksy. Oto zwolennik postępowych reform społecznych i obrońca praw robotniczych senator Wagner z New Yorku, głosuje równocześnie za imperialistyczną polityką interwencji w Grecji. Oto zajadły wróg ruchu robotniczego i pogromca komunizmu w Ameryce — senator Taft z Ohio — walczy jak lew, by nie dopuścić do uchwalenia kredytów na pognębienie ruchu robotniczego w Grecji. Nie dlatego, oczywiście, że żywi dla tego ruchu sympatie, lecz dlatego, że jest izolacjonistą. Możnaby te przykłady mnożyć w nieskończoność.

Jak pracuje system polityczny Ameryki?

Spróbujmy teraz tę mozaikę przełożyć na język praktycznej polityki amerykańskiej w roku kampanii wyborczej. W łonie każdej z obu partii znajdziemy zwolenników wszystkich wyżej wspomnianych kierunków. I w łonie każdej partii rozegra się pierwszy i niezmiernie ważny akt kampanii wyborczej. Na kilka miesięcy przed wyborami zbiorą się kongresy partyjne, czyli tzw. „konwencje", które dokonają wyboru kandydata danej partii na prezydenta i wiceprezydenta. Przed konwencją i w czasie jej trwania każdy z odłamów danej partii czynić będzie maksymalny wysiłek, by wyraziciel jego dążeń i interesów wyszedł zwycięsko z wyborów na kandydata i stanął do ostatecznego pojedynku z kandydatem partii przeciwnej w wyborach listopadowych.

Sprzeczność interesów i poglądów w łonie każdej partii bywa tak wielka, że wybór kandydata niekiedy staje się wprost niemożliwy i konwencje ciągną się tygodniami. Setki głosowań nie dają wyników, aż do chwili, gdy jakiś zręczny taktyk partyjny sklei kompromisową większość dla całkiem bezbarwnego kandydata, który nikogo nie zadowala, ale przynajmniej nikogo nie razi. Tak powstają kandydatury tzw. „fuksów" (dark horse).

W układzie obecnym zarysowują się już dość wyraźnie pewne kandydatury w obu partiach. Demokraci reakcyjni, konserwatywni i imperialistycznie nastrojeni pójdą prawdopodobnie za Trumanem. Demokraci postępowi i zwolennicy współpracy wielkich mocarstw wysuwają Wallace'a. Reakcyjni republikanie, stojący na gruncie polityki imperialistycznej, wysuną zapewne gubernatora New Yorku, Deweya. Ich izolacjonistyczni koledzy stawiają na senatora Tafta — tego samego, który jest twórcą antyrobotniczej ustawy o związkach zawodowych. Bardziej postępowe elementy republikańskie wysuwają kandydaturę Stassena.

Za wcześnie jeszcze przewidywać, czy nie wyskoczą dalsze kandydatury.

Jak z tego widać, walka zapowiada się gorąca i bynajmniej nie jest rzeczą obojętną, kto z niej wyjdzie zwycięsko. I to zarówno na konwencjach partyjnych, jak i w rozgrywce ostatecznej. Nie jest to obojętne ani dla samej Ameryki, ani dla reszty świata.

Córka prezydenta Trumana będzie śpiewała przez radio



(Rys. Julian Żebrowski)

— Córko moja! Robisz się sławna i dzięki tobie twój ojciec może stać się znanym człowiekiem!..

PANI PERON, BYŁA GWIAZDA FILMOWA, ZOSTAŁA WYGWIZDANA W EUROPIE



Rys. J. Żebrowski

„ŻYCIE TO NIE FILM"

Gdyby HITLER WYGRAŁ WOJNĘ

MARIAN PODKOWIŃSKI

(Korespondencja własna „Tygodnia")

Berlin, we wrześniu

Kiedy przeczytałem książkę Feliksa Kerstena pt. „Byłem lekarzem Himmlera" (był to Finlandczyk na służbie niemieckiej), wydawało mi się początkowo, że autor nieco przesadza. Jego bowiem prywatne rozmowy z Reichsfuehrerem SS trąciły już z lekka fantazją. Jak pisze Kersten, Himmler często oddawał się marzeniom na temat, co się stanie po zwycięstwie Niemców nad światem.

Pierwszą taką rozmowę odbył autor z Himmlerem w pociągu specjalnym, w drodze do Żytomierza, w sierpniu, w r. 1942. Niemcy miały zamiar zwołać konferencję pokojową dla delegatów z całego świata. Pierwszy warunek: wydanie Niemcom wszystkich Żydów, nawet amerykańskich.

W maju 1943 r. usłyszał Kersten nowe plany. Himmler opowiedział mu wtedy o planowanym dekrecie Hitlera w sprawie przyszłych języków Europy. Niemiecki miał być językiem urzędowym, a inne — jak duński, norweski, polski, holenderski czy francuski mogłyby być w użyciu jeszcze przez dziesięć lat, następnie zostałyby wycofane z obiegu...

W Finlandii język niemiecki miał natychmiast zastąpić szwedzki, a posługiwanie się na kontynencie — rosyjskim i angielskim miało być surowo wzbronione!

Himmler chciał nawet zrewolucjonizować prawo małżeńskie, „przestarzałe i nienaturalne". Zasada monogamii nie odpowiada — jego zdaniem — duchowi nowych czasów. Ludzie zasłużeni i dobrze zarabiający, mieliby możność utrzymywania i dwóch żon. Kobiety ponad lat trzydzieści, a bezdzietne, musiałyby się meldować u władz. W ten sposób w ciągu tysiąca lat — mówił Himmler Kerstenowi — mielibyśmy ponad pół miliarda Germanów, fakt wobec którego jest rzeczą obojętną, czy jakaś panna Schultze lub Mueller była w życiu szczęśliwa, czy też nie...

Himmler pragnął również i politycznych mezaliansów.

Kersten pisze, że niemiecka część Szwajcarii miała być włączona do Rzeszy, włoska — do Włoch, podczas gdy Holandia i Belgia przestałyby w ogóle istnieć. W marcu bowiem 1943 roku naszkicował Hitler na konferencji w Berchtesgaden plan „nowej Europy". Miano zamiar powołać do życia nowy twór państwowy pn. Burgundia, w skład którego weszłaby francuska Szwajcaria, Luxemburg, część Francji i Belgia. Stolica: Gandawa lub Dijon. Język państwowy: niemiecki.

Zamierzano wobec tego Wallonów przesiedlić do południowej Rosji, a Flamandów wraz z Holendrami w okolice naszego Lublina. O Czechach słyszeliśmy jeszcze podczas procesu norymberskiego, że chciano ich po wojnie wysiedlić na Sybir i zniszczyć.

Na pytanie Kerstena, co się stanie z generałem Franco, Himmler odpowiedział: „Z tą marokańską świnią pogadamy po wojnie inaczej. Już Hitler wystawi mu piękną szubienicę".

Himmler myślał nawet o paradzie po śmierci Hitlera: na Placu Królewskim w Berlinie, wybuduje się mauzoleum wysokości 355 metrów. Ciało Hitlera złożone zostanie w szczero-złotej trumnie, wysadzanej drogimi kamieniami z Uralu.

Tak pisał człowiek, który wiosną 1945 roku doprowadził do spotkania między Himmlerem, a hr. Folke Bernadotte, jako pośrednika w pertraktacjach między Niemcami a Aliantami.

Wynurzenia te wydawały mi się tak długo śmieszne, dopóki nie znalazłem w miesięczniku "Stuttgarter Rundschau" coś bardziej autorytatywnego. Po raz pierwszy zostało to opublikowane sprawozdanie Martina Bormanna, prawej ręki Hitlera, o konferencji w kwaterze głównej fuehrera. Dokument ten odsłania bez ogródek i z całym cynizmem, „brunatną" moralność polityki niemieckiej na wypadek zwycięstwa wojsk niemieckich nad Aliantami. Jest tak potworny i zbrodniczy, że wystarczy jeśli na tym miejscu podamy prawie w całości relację pierwszego po Hitlerze dostojnika Trzeciej Rzeszy, datowaną w dniu 16 kwietnia 1941 roku, z uwagą „ściśle tajne".

Oto co padaje Bormann:

Na rozkaz Fuehrera odbyła się u niego dzisiaj o godzinie 16-tej konferencja z udziałem reichsleitera Rosenberga, Lammersa, feldmarszałka Keitla oraz Goeringa i moim. Rozpoczynając, Fuehrer podkreślił, że pragnie podać kilka zasadniczych faktów:

Zachodzi konieczność wydania natychmiast kilku zarządzeń. Potwierdza to notatka pewnej bezczelnej gazetki rządu Vichy, gdzie pisze się, iż wojna przeciw Rosji, jest wojną Europy i dlatego winna ona być prowadzona dla całej Europy. Jasne jest, że dziennik chce tym samym powiedzieć, że nie tylko Niemcy mają odnieść korzyści z obecnej wojny, ale równie i inne państwa europejskie. Oczywiście, iż nie powinniśmy przed światem odsłaniać naszych istotnych celów, jest to nawet zbyteczne. Przede wszystkim sami musimy wiedzieć, do czego zmierzamy. Nie utrudniajmy sobie też życia niepotrzebnymi oświadczeniami. Musimy postępować we właściwej porze w sposób identyczny, jak to uczyniliśmy w wypadku Norwegii, Danii, Holandii czy Belgii.

W tych wypadkach nie zdradzaliśmy naszych zamiarów i nadal pozornie nie będziemy o tych sprawach mówić. Znowu oświadczymy, że byliśmy zmuszeni do zajęcia danego obszaru, jego uporządkowania i zabezpieczenia. W interesie ludności, w trosce o spokój, aprowizację, komunikację itd., itd. — wydajemy nasze rozporządzenia. Tym samym, w sposób nie rzucający się w oczy, ma się rozpocząć ostateczne uregulowanie rozmaitych spraw. Wszystkie potrzebne zarządzenia, jak egzekucje, wysiedlenia itp. możemy spokojnie wykonać i wykonamy. Ale nie chcemy sobie zbyt wcześnie i niepotrzebnie zrobić z ludzi — wrogów. Ale dla nas musi być jasne, że nigdy z tych obszarów nie wyjdziemy. Dlatego chodzi o to, aby nie tamować sobie drogi do ostatecznego ułożenia spraw, natomiast mieć je przygotowane pod ręką oraz oświadczyć, że przynosimy im wolność. W szczególności zaś:

Półwysep Krymski należy opróżnić z Rosjan i zasiedlić go Niemcami. Tak samo stara austriacka Galicja stanie się obszarem Rzeszy. Obecne nasze stosunki z Rumunią są dobre, ale nie wiadomo, jak one się ułożą w przyszłości. Na to musimy się nastawić i wedle tego ustalić nasze granice. Zasadniczo bowiem chodzi o zręczny podział wielkiego obszaru, abyśmy go mogli: a) opanować, b) administrować, c) eksploatować.

Sprawy zasadnicze:

Wojskowa potęga w części na zachód od Uralu nigdy więcej nie może powstać — nawet gdybyśmy jeszcze sto lat prowadzili wojnę w imię tej zasady. Wszyscy następcy Fuehrera powinni wiedzieć: bezpieczeństwo Rzeszy istnieje tylko wtedy, gdy w zachodniej części Uralu nie istnieje żadne obce wojsko. Ochronę tego terenu, przed ewentualnym niebezpieczeństwem obejmą Niemcy.

Musimy się obecnie i w przyszłości kierować żelazną zasadą. Nigdy nie należy zezwolić, aby ktokolwiek prócz Niemców nosił broń. Jest to sprawa ważna nawet i w tym wypadku, gdy wydaje się, że łatwo jest skorzystać z pomocy zbrojnej obcych, podległych nam narodów; takie stanowisko jest błędne. Odbije się ono pewnego dnia niekorzystnie i na nas samych. Tylko Niemiec może posiadać broń, nigdy zaś Słowianie. Ni Czech, ni Kozak czy Ukrainiec. W żadnym wypadku nie wolno nam prowadzić polityki chwiejnej, jaką prowadzono przed rokiem 1918 w Alzacji. Anglika wyróżnia konsekwentne dążenie do jednego celu i tego musimy się od Anglików koniecznie nauczyć.

Z nowozdobytych obszarów wschodnich musimy stworzyć ogród rajski. Są one nam niezbędne do życia. Pomimo, że odcinamy już pojedyncze części zajętych obszarów, musimy zawsze postępować jako obrońcy prawa i ludności. W szczególności: nad Bałtykiem, obszar aż do Dźwiny, po bliższym omówieniu z feldmarszałkiem Keitlem, podporządkujemy naszej administracji. Reichsleiter Rosenberg oświadczył, że według jego zdania, należy ludność każdego komisariatu Rzeszy (chodzi o tzw. Ostland, którego wielkorządcą był Alfred Rosenberg, jako pochodzący z Łotwy. przyp. aut.) traktować w odmienny sposób. Na Ukrainie musimy zaprowadzić opiekę kulturalną, musimy też obudzić świadomość historyczną Ukraińców, stworzyć uniwersytet w Kijowie i temu podobne rzeczy. Marszałek Rzeszy (tj. Goering) twierdził, że winniśmy przede wszystkim pomyśleć o naszej aprowizacji, a inne sprawy rozwiąże się o wiele później.

Z kolei Goering prosił o informacje, które obszary mają być oddane innym państwom. Fuehrer odpowiedział, że Antonescu chciałby Besarabię i Odessę wraz z pasem ziemi w kierunku północno-zachodnim. Na zarzuty ze strony Marszałka Rzeszy i Rosenberga, Fuehrer stwierdził, że nowa granica, o którą zabiegał Antonescu, przebiega nie o wiele dalej, niż dawna granica rumuńska. Fuehrer powiedział następnie, że ani Węgrom, ani Turcji i Słowakom nie obiecano niczego ostatecznie. Fuehrer stawia pod dyskusję sprawę wcielenia austriackiej Galicji do Gubernatorstwa. Wobec zastrzeżeń, Fuehrer postanawia, że nie włączy się tej części do GG., lecz jedynie podporządkuje się ten obszar Reichsministrowi Frankowi (Lwów).

Marszałek Rzeszy oświadczył z kolei, że trzeba przyłączyć różne obszary bałtyckie, jak np. lasy białostockie do Prus Wschodnich (widocznie Wielki Łowczy Rzeszy pragnął mieć do swej dyspozycji Puszczę Białowieską, przyp. aut.). Fuehrer odpowiedział na to, że wszystkie ziemie bałtyckie muszą stać się integralną częścią Rzeszy, podobnie jak półwysep Krymski z dużą częścią zaplecza (obszar na północ od Krymu). Z poglądem tym nie zgadza się jednak Rosenberg, ze względu na zamieszkałych tam Ukraińców. Okazuje się często, że Rosenberg sympatyzuje z Ukraińcami, chce on też powiększyć starą Ukrainę (uwaga Bormanna).

Dalej podkreślił Hitler, że kolonia nad Wołgą musi się stać Rzeszą Niemiecką, tak samo jak obszar Baku ma stanowić koncesję niemiecką (lub kolonię wojskową).

Finowie żądają wschodniej Karelii, ale ze względu na wielkie złoża niklu, półwysep Kola ma przypaść Niemcom. Z całą ostrożnością należy przygotować przyłączenie Finlandii do Niemiec, jako państwa związkowego. Finowie ponadto żądają obszaru wokół Leningradu.

Fuehrer pragnął zrównać Leningrad z ziemią, aby potem oddać go Finom (następują dłuższe dyskusje w sprawie podziału stanowisk gubernatorskich na obszarach bałtyckich i na Ukrainie. Również Moskwa posiada już gubernatora, a Lutze, szef sztabu SA, chciałby zapewnić stanowiska dla swych „brunatnych koszul").

Rosenberg poruszył sprawę zabezpieczenia administracji na terenach okupowanych. Fuehrer powiedział Marszałkowi Rzeszy i Keitlowi, że zawsze pragnął, aby pułki policyjne otrzymały wozy pancerne. Są one konieczne dla operacji policyjnych na nowych obszarach wschodnich, ponieważ posiadając odpowiednią ilość wozów pancernych, pułki te mogą oczywiście znacznie więcej zdziałać (jeden z takich zmotoryzowanych batalionów policyjnych wymordował w Rosji 97 tysięcy ludzi, przyp. aut.).

Fuehrer zauważył, że zabezpieczenie jest i tak bardzo słabe. Marszałek Rzeszy założy jednak lotniska, przeznaczone do szkolenia, na nowych obszarach i w wypadku potrzeby „Ju 52" będą mogły rzucać bomby na ludność. Wielki ten teren musi być jak najszybciej spacyfikowany, najlepiej w ten sposób, że każdego, kto się tylko krzywo patrzy na Niemców, po prostu zastrzeli się. Feldmarszałek Keitel twierdzi, że każdy mieszkaniec ponosi odpowiedzialność za tamtejsze stosunki, gdyż jest rzeczą niemożliwą, aby ustawić przy każdej szopie lub stacji posterunek. Mieszkańcy muszą pamiętać, że każdy, kto nie działa odpowiednio, będzie rozstrzelany, a inni poniosą poza tym odpowiedzialność za dokonane przestępstwo.

Po przerwie Fuehrer podkreślił, że dzisiejsza Europa jest już tylko pojęciem geograficznym, w rzeczywistości Azja sięga aż do naszych granic obecnych. Fuehrer orzekł, że jakakolwiek działalność kościelna nie wchodzi w ogóle w rachubę. Na zakończenie postanowiono, że kraje bałtyckie otrzymają nazwę „Ostland".

Na tym kończy się raport Bormana z posiedzenia w kwaterze Hitlera.

Wiemy, jak się skończył ów „podział skóry na niedźwiedziu" i raj na ziemi, jaki obiecywał swym towarzyszom opętaniec z Berchtesgaden.

Dokument ten pozostanie jednak po wieczne czasy dowodem manii wielkości narodu, który postanowił zniszczyć narody europejskie, aby — jak kiedyś wyraził się Goebbels — „Niemcy mogli zasiąść wreszcie do suto nakrytego stołu".



— Drogie maleństwo, pomalu już odzyskuje rumieńce!
(„Les lettres Françaises" — Paryż).

TADEUSZ SCHIELE

MÓWI MARY

Wyjątek z książki „Spitfire — Wielka Niedźwiedzica", która ukaże się niebawem nakładem Spółdz. Wyd. „Wiedza"

...Otrzymałem miejsce w pokoju kasyna podoficerskiego po zestrzelonym kilka godzin temu koledze. Rzeczy jego spakowano, zaplombowano i przekazano komisji spadkowej. Po załatwieniu formalności w kancelarii i napisaniu testamentu pobrałem w magazynach spadochron, maewestkę i przeniosłem wszystkie swe rzeczy potrzebne do lotów do Dispersalu 308 — baraku na skraju lotniska. Zapoznałem się z kolegami i dowódcami, objaśniono mi procedurę radiową, szczegóły ruchu na lotnisku, a nazajutrz wyznaczono godzinny lot na zorientowanie się w położeniu lotniska i poznanie okolicy.

Dwie zapory balonowe były zaledwie kilka kilometrów od nas. Jako prowadzący poleciał ze mną Tadek Hagenbarth. Zwiedziliśmy całą okolicę. Lądowałem z nim w szyku ciasnym. Po locie, Tadek objaśnił mi jeszcze sporo szczegółów i od tej chwili stałem się pilotem operacyjnym.

Tegoż jeszcze dnia po południu, Tadek nie wrócił z lotu. Zestrzelili go w walce nad brzegiem francuskim. Oprócz niego z innych dywizjonów też nie wróciły dwie maszyny. Kolację jedliśmy w milczeniu. Jedna z usługujących nam WAAF-ek, o dużych brązowych oczach i kruczo czarnych włosach spytała, czy zatrzymać gorącą kolację. Widziała, że jednego z naszego dywizjonu brak.

— Nie, już nie potrzeba...

Zrozumiała. Uśmiechnęła się smutno i patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Zmieszałem się. Bąknąłem:

— I am sorry.

Ocknęła się jak gdyby.

— I am sorry — powiedziała cichutko i szybko wyszła.



Rys. M. Walentynowicz

Bardzo miła i ładna. Pewno też jej musi być przykro, gdy tu raz po raz ktoś znika. Jak jej imię?

— Jeanne...

* * *

17 lipca 1941 roku od rana była mgła. Megafony odwołały dywizjony do trzydziestominutowego pogotowia. Siedzieliśmy wobec tego w kasynie. Większość leniwie grała w karty, reszta czytała gazety lub leżała u siebie na łóżkach. Nudy. Mgła stwarza zawsze dziwnie nudną atmosferę. Po obiedzie zebraliśmy się w dispersalu. Kudrys zaproponował dowódcy: — Mamy tu kilku młodych, panie kapitanie, niech sobie posiedzą w readinessie w taką pogodę. I tak już dzisiaj nic nie będzie, a my kropniemy się na dancing do Orcharda.

Pisarek uśmiechnął się.

— Dobra. Ja jednak zostanę. Możecie wziąć mój wóz, kluczyki są w środku.

Wdziałem buty, maewestkę i zaniosłem spadochron do maszyny. Po godzinie głośniki na lotnisku oznajmiły:

— Dowódca Mary zechce się zgłosić natychmiast w dowództwie...

Piloci poruszyli się niespokojnie. Czyżby... w taką pogodę, pod wieczór.

— I to na piechotę — mruknął Pisarek, który pożyczył wóz Kudrysowi.

Wrócił za parę minut. Jego przystojna, młoda twarz była poważna i skupiona. Wysoka, szczupła sylwetka na tle zamglonego okna sprawiała wrażenie prawdziwego pewnego siebie dowódcy. Zaczął mówić spokojnie, przyciszonym głosem:

— Proszę panów...

Skupiliśmy się przy mapie ściennej. Nad głowami wisiały małe czarne, drewniane modele samolotów niemieckich, zawieszone u sufitu na nitkach. Znienawidzona sylwetka „Messerschmitta 109" wyraźnie odróżniała się od innych...

— ... Lot... Wymiatanie. Rejon tu... St Omer. Wysokość 27 tysięcy stóp. Startujemy za piętnaście minut. Kolejność kołowania znana. Cisza radiowa obowiązuje... Guzik A — jak Adam. Jakieś zapytania?... Czy jakieś inne dywizjony? Nie, jesteśmy sami... Pod nami? Nic.. Nad nami?... Też nic.

— Chyba Pan Bóg — mruknął ktoś.

Wódz uśmiechnął się:

— No i „Messerschmitty". — Spojrzał na zegarek. Wszystkie swe rzeczy, portfele i papiery zostawiliśmy na stole w małych woreczkach. — To wszystko. Proszę do maszyn...

Startowaliśmy...

Trójka po trójce odrywała się od ziemi i ostrym, podciąganym skrętem nad lotniskiem w lewo, dołączała do poprzednich. Pisarek zameldował przez radio:

— Hallo Zulu... Mary Leader... Airborne.

My startowaliśmy. — Zulu — radarowa radiostacja ziemna potwierdziła meldunek i od tej chwili zapanowała cisza radiowa.

Byliśmy już na kursie i dywizjon w ciasnym defiladowym szyku trójkowym bezustannie się wznosił. Leciałem po prawej stronie dowódcy. Po naszej lewej została szara plama Londynu, a przed nami ukazała się stalowa wstęga kanału La Manche. Byliśmy już nad mgłą. Cztery, pięć sześć siedem tysięcy metrów... — robiło się coraz chłodniej. Tlen sączył się zimną strugą, wysuszał wargi i język. Wchodziliśmy nad kanał. Osiem, dziewięć tysięcy... — jeszcze zimniej i groźniej. Oddychaliśmy już tylko czystym tlenem. Silniki pracowały ciężko i na dużych obrotach. Szybkość na zegarze zmalała. W rzeczywistości, względem ziemi była ona blisko dwukrotnie większa. Dowódca pokiwał powoli skrzydłami. Znak rozejścia się do szyku bojowego: nasza dwunastka podzieliła się na trzy czwórki, lecące około dwustu pięćdziesięciu metrów od siebie. Czwórki boczne zależne były od środkowej, którą prowadził Pisarek. Prowadzącymi pozostałych byli piloci doświadczeni. Młodsi lecieli jako boczni dowódców czwórek, lub dowódców dwójek w czwórkach. Zaczęliśmy „pisać", to znaczy za poszczególnymi maszynami powstawały białe smugi kondensacyjne. Pisarek zwiększył szybkość.

— Zostajemy na tej wysokości — pomyślałem.

Przekroczyliśmy brzeg nieprzyjacielski i równocześnie z pierwszymi wybuchami ciężkiej artylerii niedaleko nas, Zulu podało meldunek:

— Uwaga, Mary Leader... 30 mil na wschód od ciebie, ta sama wysokość, 40 samolotów nieprzyjacielskich.

Pisarek spokojnie potwierdził i jeszcze zwiększył szybkość. Z zapalonym celownikiem i odbezpieczonymi działkami rozglądałem się bez ustanku po niebie. Wiedziałem już, że dojdzie do walki...

Czy wrócę z tego pierwszego właściwie lotu bojowego?... Dumny byłem, że lecę jako boczny dowódcy. Jest to zresztą najbezpieczniejsze miejsce.

Znów szereg wybuchów artylerii po mojej prawej stronie, poniżej lewej czwórki, która zrobiła łagodny unik. Maszyny zafalowały, przetasowały się i wróciły na swoje miejsca. Dotarliśmy już na kilkanaście mil w głąb Francji.

Zameldowało się Zulu:

— Mary, uwaga... 50 mil na południe, trzydzieści samolotów nieprzyjacielskich... Wysokość siedem do dziewięciu tysięcy.

— Mówi Mary Leader... Z lewej u góry „Messerschmitty".

Pisarek mówił swym miarowym, spokojnym głosem, a po kilku sekundach, zanim jeszcze zdążyłem zauważyć, nieco szybciej...

— Uwaga, Mary... Samoloty... Atakują z lewej! Skręt w lewo! — i pierwszy gwałtownie skręcił.

Trudno określić moje uczucie. Nie sądzę, bym się bał. Nie było czasu się bać... Prawie dwa dywizjony „Messerschmittów" atakowało i trzeba się było bronić. W skręcie przez plecy za dowódcą, spostrzegłem szereg białawych błysków i smug... Strzelają, dranie!... Zrobiliśmy zwrot w ich stronę, pod nich, więc czwórki nasze przetasowały się i szły już prawie mordą w mordę z Niemcami. „Messerschmitty" wyrwały ostro w górę, lecz kilka z nich zostało na naszej wysokości, skręcając coraz to ostrzej, żyletką przed nami. Pisarek strzelał... Widziałem czerwone błyski jego działek i Niemca z czarną smugą dymu...

Przez radio ktoś ostrzegał: — Uwaga Mary... Atakują z prawej!

Pisarek skręcił w prawo. Zrobiłem unik, żeby się z nim nie zderzyć. Byłem kompletnie zdezorientowany.

Padło krótkie, ostre: —

— Jadą z góry, z tyłu! Mary, uwaga!... —

Czarna smuga dymu przykuwała moje oczy i wprost hypnotyzowała. Niemiec szedł bezradny ze dwieście metrów z przodu. Pochyliłem „Spitfire'a" i kurczowo, nerwowo celowałem... Jeszcze nie.., Jeszcze trochę... Poprawka!... Dobra!

Dreszcz przeszedł maszynę Działka grzały zaciekle, bez zacięć. Na kadłubie „Messerschmitta" ukazały się błyski. Odległość zmniejszała się gwałtownie! Niemiec stanął w płomieniach. Radość zmieszana ze zgrozą była jedynym uczuciem... Pali się, pali się!...

— Samoloty Mary, w prawo... w prawo... — spokojnie mówił Pisarek. Skręciłem w prawo najgwałtowniej, jak tylko potrafiłem. Zrobiło mi się ciepło i mdławo. Jakaś straszna siła wtłaczała mnie do środka kabiny. Z trudem po-

LEADER

dniosłem głowę do góry. Kilkanaście metrów wyżej przemknęło kilka cieni... „Messerschmitty". Ostry zarys lewego płata zszarzał i zmętniał na tle nieba. Traciłem wzrok. Strach przed zderzeniem i zestrzeleniem górował teraz nad wszystkimi innymi uczuciami.

W słuchawkach słyszałem walkę:

— Uwaga z lewej z tyłu!... Z góry po prawej, uwaga Mary!... — Chrapliwie: — Dostałem.. Mówi Mary jeden — osiem, Mary jeden — osiem...

Ktoś wołał:

— Spadochron, spadochron pod nami!...

Przed oczyma jaśniało. Pomarańczowo - fioletowe płatki ukazywały się, by równie szybko zniknąć i znów się ukazać. Odróżniłem już ciemne wnętrze kabiny od jaśniejszego w górze nieba.

Siła odśrodkowa, odpływ krwi, chwilowy paraliż wzroku...

— Mówi Mary Leader... Wszystkie samoloty w słońce... Prawa czwórka wyżej, lewa dołączyć! Idziemy w słońce!...

„Messerschmitty" po szeregu zaciętych ataków odeszły w bok i kilka ich dywizjonów było nad nami. Reszta wokół nas. Dołączyłem do dowódcy, lecz szczerze mówiąc byłem wprost zrozpaczony. Boże, kiedyż to się skończy!...

Atakują!

— Mówi Mary Leader... Kółko w prawo! — Zrobiliśmy olbrzymie koło, czwórka za czwórką, prawie gęstego, w ostrym skręcie w prawo. — Mary, ciaśniej... bliżej! — mówił Pisarek.

Byłem zmęczony, zadyszany i mokry od potu. Straciliśmy przeszło trzy tysiące metrów. Dzięki Bogu pod nami było jeszcze ze sześć.

— Mary Leader! Mary Leader!... — wołał ktoś. — Jestem ranny... — Resztę zagłuszały piski i szum w radio.

Kółka w prawo czy w lewo były jedynym wyjściem. Przewaga Niemców była ogromna. Atakowali zawzięcie i dosłownie ze wszystkich stron.

Pisarek wyprostował ze skrętu. Za jego przykładem wyprostowały czwórki, dodały gazu i dołączały na boki.

Atakują!

Zrobiliśmy wariacki wywrót przez plecy. Huśtnęło się niebo i ziemia. Waliliśmy na pełnym gazie w dół. Wskazówka szybkościomierza dawno już minęła czerwoną kreskę, granicę maksymalnej dozwolonej szybkości... W uszach odczuwałem piekielny ból. Szum. który zagłuszył zupełnie pracę silnika, stale się wzmagał. Ziemia wyraźnie zbliżała się... Zaczęliśmy wyrównywać. I znów ta sama historia z utratą wzroku... Przed nami był brzeg francuski. Wracaliśmy do Anglii. Jeszcze tylko ten Kanał...

— Mary, do kupy... — ostrzegał Pisarek. Sam nie wiem, jak to się stało, że zdołaliśmy się utrzymać w szyku. Niemcy zostali w górze, w tyle. Artyleria znowu zaczęła prać. Przelatywaliśmy wśród błysków i czarnych dymków. Nie było już sensu robić uników. Stale pikując, przekroczyliśmy brzeg i weszliśmy w morze. W dali bielił się wysoki brzeg angielski. Oglądając się nerwowo do tyłu, uspakajałem sam siebie: wracamy, żyję... zestrzeliłem!... Aby tylko szczęśliwie przez morze!...

Zeszliśmy jeszcze niżej i zredukowaliśmy szybkość do przelotowej. Było nas dziesięciu. Dwóch zostało tam...

Z nienawiścią, z grymasem wykrzywionych ust, zdrętwiałej twarzy i zmrużonych od słońca oczu patrzałem tam... w tył, w górę.

— Mary Leader... Przerywa mi silnik... mówi Mary dwa — sześć...

Jedna maszyna leciała wolniej w tyle, z cieniutką smugą białego dymu.

— Mówi Mary dwa — sześć... Silnik stanął... skaczę!

Wykwitła biała kopuła spadochronu i w chwilę potem maszyna wyrżnęła w morze, wyrzucając w górę fontannę wody. Spadochron kołysał się na tle szarego, brudnego morza. Zrobiliśmy nad nim rundę i Pisarek podał przez radio pozycję do Zulu, które potwierdziło.

Przekroczyliśmy już brzeg angielski. Trzy trójki zniżyły lot i były już na kursie do Northolt. Silnik na małych obrotach pracował rytmiczniej i ciszej. Rozluźniłem pasy i poprawiłem się wygodniej. Było mi dobrze. Kciukiem podniesionym do góry w moją stronę Pisarek zrobił mi wielką przyjemność. Byczy chłop ten Pisarek, a jak pięknie lata i walczy... Gdyby nie on, nie sądzę, by ktokolwiek z nas wrócił.

Po dwudziestu minutach lotu nad polami i wioskami, dolecieliśmy do charakterystycznych dwóch jezior, skąd widać już było lotnisko. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy pomyśleć o Jeanne. Cieszyłem się, że ją niedługo zobaczę.

Po defiladzie nad lotniskiem rozeszliśmy się do lądowania. Widoczność była marna. Mglisto i szybko się ściemniało. Lądowałem drugi za Pisarkiem...

*

Pisanie szczegółowego raportu dla oficera operacyjnego zajęło mi trochę czasu i spóźniłem się na kolację. Jadalnia była prawie pusta. Do stołu podawała mi znajoma z widzenia dziewczyna. Nie miałem najmniejszej ochoty na jakieś odgrzewane naleśniki, ani na ciastko, które jak kropka nad „i" zamykało menu. Poprosiłem o herbatę i paląc papierosa, usiłowałem wykazać wielkie nią zainteresowanie. Trochę mleka, za mało cukru, wylała się na spodek i w ogóle za gorąca... Muszę więc poczekać. Raz po raz zerkałem na drzwi, w nadziei zobaczenia Jeanne.

Jak bomba wpadł na salę Jurek Zieliński. Roześmiałem się mimowoli. Wysokie buty, z których wystawały mapy i kolba pistoletu, długi, prawie po kolana spod rozpiętego battle-dressu wystający sweter, kolorowy szalik i rozburzona czupryna — przypominały cowboya z najdzikszego filmu o Dzikim Zachodzie.



Rys. M. Walentynowicz

— Pij tę herbatę, idioto! — ryknął od drzwi. — Wódy cała łada, jakieś przybłędy chleją za frajer! Romcio już na obrotach, a czasu mało, bo bar za chwilę sukinsyny zamkną! — i znikł szybciej niż się pokazał.

Romek i ja mieliśmy dzisiaj nasz pierwszy lot bojowy. Słusznie — należy się z nim napić, ale z tym zamknięciem baru to lekka przesada. Zamkną go istotnie, ale dopiero za trzy godziny. Spojrzałem na zegarek.

Już chyba nie przyjdzie. Pewnie skończyła służbę o piątej i teraz ma wolne. Ostatecznie mogła... Ech, nieważne. Byłem zły.

— Mości panowie, ten ci ot najmężniejszy z mężnych, zacnie sobie dziś poczynał i nie pokpił dnia! — wył Jurek i wlókł mnie za sobą, przeciskając się do baru.

— Messerschmitta, messerschmitta! — krzyczeli inni.

Barman, otyły Anglik, z powagą postawił na ladzie wysoką szklankę, do której z jeszcze większą powagą zaczął wlewać po kolei whisky, gin, porto, cherry, cherry - brandy, brandy, koniak, jakieś krople miętowe, trochę piwa i wody sodowej.

Kropnąłem to świństwo, zwane messerschmittem prawie duszkiem. Trudno, taka tradycja po zestrzeleniu szkopa. Ktoś wsadził mi papierosa w usta, ktoś inny klepał mocno po ramieniu. Gwarno było i wesoło. Podnieceni rozmawialiśmy o dzisiejszym locie. Gwar stale się wzmagał...

— ...Pisarek wyrwał ostro w lewo.. W sumie ze sto dwadzieścia szkopów... Tę szóstkę z lewej pamiętasz? Wtedy, co to Kazek ostrzegł... Szkoda Stefana... Co, ty nie wiesz?! Był telefon z Grupy... Wyłowili go i jeszcze drugiego w dodatku!... Lewe działko mi się zacięło... spadochron mi ktoś podwinął i leciałem nie ze swoim. Czyj to monogram Z. M... Hej, Zeeet Eeeem!...

Wyszedłem na chwilę do swego pokoju po papierosy. W korytarzu spotkałem mego współlokatora — Zdziśka.

— Aha... Tadek, był do ciebie telefon zaraz po wylądowaniu. Ktoś odebrał w dispersalu. Nie pamiętam, zdaje się dzwoniła kobieta.

Zrobiłem najobojętniejszą minę na jaką mnie było stać.

— O Key, dziękuję ci. Napijesz się?

— Dobra, ale tylko jednego, bo jutro rano jestem na składzie.

— Na pohybel!

— Trzask!

— Tadek, ktoś cię prosi... Czeka na polu.

Ciepło było i przez cienką mgłę przebijało śliczne bezchmurne niebo, pełne gwiazd. Z początku nic nie widziałem. Aha, Reggie... Hallo.

Reginald Dixon był „bandy-leaderem" stacyjnej orkiestry. Dzięki częstym audycjom radiowym w B. B. C., wybił się na czoło angielskich muzyków. W Northolt, w R. A. F. był w stopniu kaprala.

— Przede wszystkim gratuluję...

— Dziękuję serdecznie, ale skąd wiesz?

— Jeanne mi powiedziała.

Poczułem, że robi mi się gorąco.

— O... I see, — pojęcia nie miałem, co odpowiedzieć. — Well, — zdecydowałem się. — Napijesz się?

— Nie, dziękuję... Innym razem. Spieszę się, muszę jechać do domu. Ciemno już, a mój wóz ma fatalne światła. Właśnie skończyliśmy próbę w Alexandra Palace. Jeanne śpiewała, szkoda, że cię nie było. No i właśnie... tego... com to ja chciał mówić... ona tu czeka. Tu, zaraz na rogu koło wartowni... No to cześć tymczasem! Good night.

— Cheerio Reggie, good night...

Wsadziłem łapy w kieszenie i w ciężkich lotniczych butach ruszyłem w stronę wartowni...

Tadeusz Schiele

Wczasy w Rucianach

Urlop — magiczne słowo. Po całorocznej pracy beztroski odpoczynek. Ruciany to cudowny zakątek na dawnej polskiej ziemi — mazurach — o wspaniałej bujnej przyrodzie z przepięknymi jeziorami. Wymarzone miejsce do odpoczynku i ukojenia starganych w ciągu lat nerwów. Ośrodek pięknie położony tuż nad jeziorem. Posiada własną przystań kajakową, wspaniały pomost do kąpieli wraz z trampoliną. Jest siatkówka i duży pokój do ping-ponga. Radio i adapter. Toteż wczasowicze korzystali z tych wszystkich przyjemności całą duszą. Już po dwóch dniach pobytu w Rucianach wszyscy byli wspaniale wypoczęci i opaleni. Kierownictwo Ośrodka wytężało siły, ażeby wszystkim wczasowiczom jak najbardziej pobyt uprzyjemnić. Organizowali wycieczki bardzo ciekawe i przyjemne, m. in. do „kwatery Goeringa" i w miejscu gdzie on łowił ryby ze wszystkich piersi wyrwała się pieśń mocna, potężna, nasza polska „Rota".

Zwiedzaliśmy między innymi również jezioro Śniardwy w Mikołajkach — cudne, wspaniałe jezioro o bezmiarze wód, rozlane na przestrzeni 149 km^2, głębokości 25 m i z tego właśnie jeziora wyławiane są sielawy, wędzone we własnych wędzarniach Spółdzielni Rybackiej, następnie rozprowadzane po całej Polsce. Objaśniał nas kierownik tej Spółdzielni, jak to mając tylko 2.000 zł, rozpoczęli pracę, — jak przez pierwsze miesiące nie pobierali ani grosza wegetując, ale trwali, pracując dla dobra Państwa i obecnie doprowadzili tę Spółdzielnię do rozkwitu. Płaca miesięczna rybaka już wynosi 15.000 zł.

Karmiono nas doskonale — posiłki bardzo urozmaicone i obfite. Wszystko było na czas ugotowane i podane. Stoły do każdego posiłku inaczej przybrane kwiatkami, bądź liśćmi.

Zakończeniem turnusu było wspaniałe ognisko z licznym udziałem miejscowej ludności. Po ognisku apel, odśpiewanie hymnu spółdzielczego w bratnim kręgu, opuszczenie sztandaru.
Ze smutkiem żegnaliśmy ten uroczy zakątek ziemi mazurskiej, który wlał w nas radość życia, dał nam tężyznę i siły do dalszej pracy.

Przytoczę tu piosenkę, ułożoną na cześć Rucian na melodię „Z młodej piersi się wyrwało".

Z Między-Zdroju poskreślali
Smutek nas ogarnął srogi
Wsiadłem z bólem do wagonu
Przejechałem ten szmat drogi
A w Rucianach co za dziwo
Tyle czaru, tyle wody
Na kajakach wraz ze słońcem
Popłynąłem w te zawody.

Tę piosenkę o Rucianach
Zaśpiewamy wszyscy społem
O srebrzystej tafli wody
Śpiewa każdy stary, młody
O Mazurskiej cudnej ziemi
O jej wodach, puszczach, lasach,
Śpiewa każdy duszą całą
O Rucianach tu, na wczasach.

Z. M.



Fot. Film Polski

Amatorski balet Państwowej Fabryki Konfekcyjnej Nr 2 w Łodzi bawi na występach gościnnych w Gdańsku.

NOWE KSIĄZKI

Piętak Stanisław — Młodość Jasia Kunefała. Opowieść o utalentowanym synu chłopskim, który z niezmiernym trudem wydobywa się z prymitywnego życia wiejskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Warszawa, 1947 r.

Scott Walter — Rob Roy. Powieść historyczna, arcydzieło literatury angielskiej, w tłumaczeniu Teresy Świderskiej, z przedmową Andrzeja Tretiaka. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Warszawa, 1947 r.

Przemski Leon — Rzeczy, kraje, obyczaje. Obrazki z dziejów cywilizacji. Książka ta stanowi wzorowe rozwiązanie metody upowszechnienia nauki. Rozszerza horyzonty, uzupełnia wiadomości ucznia i samouka. Materiał anegdotyczny jej zaś stanowi przyjemną rozrywkę. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Warszawa, 1947

KĄCIK JĘZYKOWY

Nie ma na kuli ziemskiej języka cywilizowanego, który by był absolutnie samorodny i wolny od wpływów obcych; wpływy wzajemne świadczą przecie o wymianie dóbr i zdobyczy kulturalnych między narodami; dowodzą, że narody cywilizowane stanowią rodzinę.

Weźmy dla przykładu bardzo bogate i ukształcone języki naszych najbliższych sąsiadów — Rosji i Niemiec. W języku niemieckim wiele najprostszych, zdawałoby się, idealnie po niemiecku brzmiących słów, jest pochodzenia obcego, przeważnie łacińskiego. Die Strasse, to łacińska „strata", der Schrank — „scrinium" (nasza skrzynia), der Brief—„breve" das Fenster — „fenetra", der Tisch— „discus"; schreiben — to „scribere", podobnie jak łacińskimi są: kochen, spazeiren, gratulieren, amüsieren, i mnóstwo innych. Od Polaków np. wzięli Niemcy „die Peitsche" (bicz), „die Grenze" (granica), „der Peisker" (piskorz) i inne.

W języku rosyjskim znajdziemy wiele słów pochodzenia greckiego, Ruś Kijowska bowiem nawiązała pierwsze stosunki kulturalne z Bizancjum i greczyzną, jak my z Rzymem i łaciną. Któż jednak w takich słowach rosyjskich, jak „gramota", „ikona", „tietradj", „monach" i tym podobnie, domyśli się przybyszów greckich? Uległy one całkowitemu zeswojszczeniu. Parę wieków pozostawała Ruś pod jarzmem tatarskim i następstwem jego było wchłonięcie przez język ruski wielu słów mongolskich, wschodnich — np.: knut, sunduk, kabak, łoszadj, bumaga, dieńgi, ambar itp. Określają one tak elementarne rzeczy, że wyrugować ich z języka nie sposób.

Na język polski oddziaływały w ciągu długich wieków rozmaite wpływy tych narodów, z jakimi utrzymywaliśmy takie czy inne stosunki polityczne i kulturalne. Mamy zapożyczenia czeskie, łacińskie, niemieckie, ruskie, włoskie, wołoskie (rumuńskie), węgierskie, francuskie, wreszcie wschodnie — tatarskie, tureckie, arabskie. Takie słowa, jak: biskup, papież czy ołtarz wzięliśmy od Czechów, którzy znowu zapożyczyli je z łaciny i zczechizowali. Rynek, ratusz, gmina, wójt, sołtys i tam dalej, to pożyczki niemieckie, ale Niemcy swego „wójta" (Vogt) urobili z łacińskiego „vocatus", a „sołtysa" (Schultheiss) ze „scultetus". Kalafiory, szparagi, selery, pory, — jak wskazuje ogólna ich nazwa „włoszczyzna" — to wyrazy włoskie, podobnie jak fraszka, sufit, sztylet, parapet itp. Bekiesza i giermek, dobosz albo szereg (stąd rosyjska „szerienga") pochodzą z węgierskiego, Bachmat, rumak, kilim — przyszły ze Wschodu, od Turków i Persów. Sobór albo sojusz zawdzięczamy Rusi, która z kolei wzięła od nas „chorugwj" (chorągiew) czy też „briczka".

Takich słów, zakorzenionych w języku i zeswojszczonych gruntownie, najczulszy purysta tępić nie będzie w żadnym języku. Czy możnaby, powiedzmy, usunąć z naszej mowy słowo „bierzmować", które powstało z łacińskiego „firmare"? Czy można wyrzucić terminy naukowe, jak: algebra, psychologia czy fizyka, wspólne wszystkim językom europejskim, a pochodzące przeważnie z języka greckiego? (Algebra jest arabska).

Jednakże używamy nadto często takich wyrazów obcych, które są zgoła niepotrzebne, i świadczą tylko o zmanierowaniu i pseudointeligencji tych, którzy się nimi posługują, nieraz zupełnie ni w pięć ni w dziewięć. Anulować, admonicja, emulacja, partycypować, zdetonować itd.— po co te dziwolągi? Mówmy: znosić, nagana, przestroga; współzawodnic- unieważniać, umorzyć; upomnienie, nagana, przestroga; współzawodnictwo, współubieganie się; uczestniczyć, brać udział; zakłopotać, zmieszać, stropić... Wybór mamy duży. Pocóż odzierać własny język czyli siebie samych z bogactwa?

BAKAŁARZ

KRONIKA KULTURALNA

DOSKONAŁY felieton pt. „Zoil albo o powieści współczesnej" ogłosił Jan Kott w Nr 35/144 „Odrodzenia". Opowiada w nim między innymi o tym, jak „przyjmował niedawno wycieczkę intelektualistów włoskich", zwiedzającą Polskę. Nie mówi tylko, dlaczego on właśnie ją „przyjmował", a nie np. minister kultury i sztuki. Śród Włochów wyróżniał się niejaki „profesor Z. — historyk i socjolog". Zadał on Kottowi szereg pytań o współczesnej powieści polskiej miano wicie: „pytał, czy mamy powieści o Ziemiach Zachodnich, o życiu chłopów i robotników, o Lublinie, O Armii Ludowej, o Pierwszej Dywizji". Zagadkowy profesor Zet był, jak widać, znakomicie poinformowany o Polsce współczesnej. A jednak zapomniał zapytać o dwa dosyć ważne procesy, jakie się odbyły ostatnio w jej życiu: o polski ruch oporu czasu okupacji i o powstanie warszawskie. Kott, jak pisze, czerwienił się i nic nie odpowiadał, co oznaczało, że powieści, o które profesor Zet pytał, nie mamy. Makiawelski Włoch musiał wyjechać z Polski z uczuciem Schadenfreude. Źle Kott przyjmował wycieczkę, niedyplomatycznie reprezentował Rzeczpospolitą. Trzeba było nie tylko wyliczyć nowe utwory Gajawiczyńskiej, Nałkowskiej, Brandysa, Andrzejewskiego, Dobraczyńskiego, Pruszyńskiego, Szmaglewskiej — i tym dalej, ale przycisnąć do muru Italianca pytaniami w rodzaju: czy Włosi mają już powieści o odwrocie z Etiopii i z Libii, o rozkładzie faszyzmu, o upadku i kaźni Mussoliniego... Dopieroż by się profesor Zet zaczerwienił.

NAGRODA „ODRODZENIA". przysądzona Iwaszkiewiczowi za „Nowele włoskie" wywołała różne komentarze w naszych pismach literackich i politycznych. Jedni krytycy pochwalają wybór jury, inni ganią. Nic w tym dziwnego, bo jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził, i każdy laureat ma zawsze swoich zazdrośników i przyjaciół, przeciwników i zwolenników. Przypomnijmy sobie, jakim kijem w mrowisko bywały u nas przed wojną nagrody państwowe, nagrody Akademii Literatury albo „Wiadomości Literackich". Casus Iwaszkiewicza jest jednak pod pewnym względem osobliwy; w ocenie bowiem jego twórczości przez różnych krytyków uderza paradoksalność tych ocen i pretensje do jury, że trzymało się warunków i regulaminu nagrody. Czy nie jest paradoksem, że publicysta „katolicki", członek Poselskiego Klubu Katolicko - Społecznego, p. Aleksander Bocheński, na łamach „Dziś i Jutro" uważa, że „przyznanie wielkiej nagrody Iwaszkiewiczowi jest... skandalem", albowiem „utwory Iwaszkiewicza cechuje jakaś ponura, zawzięta beznadziejność". P. Aleksander Bocheński, autor „Dziejów głupoty w Polsce", jest zapewne rzecznikiem tzw. „radosnej twórczości" która niegdyś modna była w Polsce. Natomiast — znowu paradoks — Ryszard Matuszewski, członek redakcji „Kuźnicy", marksista, nie tylko sławi sztukę pisarską i mistrzostwo stylu Iwaszkiewicza, ale i jego „postawę społeczną": skąd dałoby się wyciągnąć wniosek, że postawa ta nie jest ponura i beznadziejna, jak mniema antypoda marksizmu, katolik Bocheński, o którym J. C. Mość Mikołaj I, gdyby żył, mógłby powtórzyć to, co wyrzekł niegdyś o Henryku Rzewuskim: „Il est plus catholique que le pape et pluc orthodoxe que moi-même". Co do pretensji pod adresem jury, nielogiczne jest czynić mu zarzuty, że wyróżniło pisarza o światopoglądzie jakoby niedzisiejszym, trącącym epoką przedwojenną, która przeminęła z wiatrem. Przecie w regulaminie nagrody nie ma zastrzeżeń „światopoglądowych": mowa tylko o „najlepszej' książce ostatniego roku. Najlepsza — to znaczy doskonała, świetnie napisana, artystyczna, zajmująca, opracowana kunsztownie itp. W roku przyszłym „Odrodzenie" powinno uściślić regulamin swej nagrody i wprowadzić do niego punkt „światopoglądowy", żeby się nie rozgorzała znowu dyskusja, która bądź cobądź jest niesprawiedliwa względem zasłużonego i uwieńczonego pisarza.

St. Łatka

JAK PRACUJĄ ODDZIAŁY „SPOŁEM"

Oddział Powiatowy w Mińsku Mazowieckim

Oddział Powiatowy „Społem" w Mińsku Mazowieckim, ul. Spółdzielcza 7-a, powstał w 1940 roku. Zaopatruje w towary 41 spółdzielni z terenu całego powiatu, zatrudniając 39 pracowników. Poza działem kolonialno-spożywczym, prowadzi hurtownie: soli, wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych.

Obroty Oddziału w 1945 roku dały 30.202.004 zł., a w roku ubiegłym podniosły się do 155.386.247 zł. Na rok bieżący preliminowano je w wysokości 360.000.000 zł., przy czym pierwszy kwartał br. przyniósł już 83.238.454 zł.

Magazyny Oddziału znajdują się na własnej nieruchomości. Są skoncentrowane w jednym miejscu, ale zupełnie nie odpowiadają potrzebom Działu, mieszczą się bowiem w budynkach raczej mieszkalnych. Istnieje projekt kupienia placu przy stacji kolejowej, na którym wybudowano by nowe magazyny na towary masowe wraz z własną bocznicą kolejową. Tabor Oddziału składa się z 3 samochodów ciężarowych, jednej pary koni i 1 wozu, wskutek dużej odległości od stacji kolejowej — tabor jest przeciążony pracą.

Sieć spółdzielni w powiecie jest dostateczna. Rada Oddziałowa pracuje dość intensywnie.

Podkreślić należy wielką zwartość pracowników Oddziału, którzy tworzą jednolitą grupę, bez względu na przynależność partyjną. Stosunek do Oddziału Powiatowej Rady Narodowej, Starostwa i partyj jest bardzo życzliwy.

Kierownikiem Oddziału od 1944 r. jest Kazimierz Czechowski, pracujący w spółdzielczości od 1935 r. (a).

POWIATOWA SPÓŁDZIELNIA ROLNICZO - HANDLOWA W SIEDLCACH

Powszechna Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Siedlcach, ul. 3 Maja Nr 23 powstała w 1921 r. Zrzesza 3.470 członków i zatrudnia 95 pracowników. Prowadzi: skup ziemiopłodów i sprzedaż wszystkich artykułów gospodarstwa wiejskiego oraz warsztaty reparacyjne maszyn i narzędzi rolniczych. Posiada w Siedlcach pięć sklepów.

Obroty Spółdzielni w 1946 r. wynosiły ca 46 milionów zł. W roku bieżącym mają dać ca 60 milionów zł.

Pracami Spółdzielni kieruje Zarząd, w skład którego wchodzą: Stanisław Barszcz — prezes Stanisław Kociszewski — kierownik i Władysław Twarowski — członek Zarządu (a.).

ODDZIAŁ POWIATOWY w KOŃSKICH

Oddział „Społem" w Końskich powstał w 1924 roku. Po wypędzeniu okupanta Oddział objął swoją działalnością teren całego powiatu. Mieści się we własnym budynku przy ul. Spółdzielczej 12.

Obecnie Oddział zatrudnia 34 pracowników i zaopatruje w towary 59 spółdzielni z terenu całego powiatu. Poza działami: kolonialno-spożywczym i włókienniczym, Oddział prowadzi hurtownie: soli, wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych oraz — Powiatową Zbiornicę Jaj i hurtowy skład materiałów budowlanych i opałowych.

Magazyny są dostatecznie pojemne i w chwili obecnej odpowiadają potrzebom Oddziału. Brak jest tylko bocznicy kolejowej. Pomieszczenia biurowe są szczupłe. Tabor Oddziału, składający się z 2 samochodów ciężarowych, stoi na wysokości zadania i jest wystarczający.

Powiat jest zdecydowanie rolniczy, a ludność jego z powodu wyjątkowo ubogiej gleby, jest naprawdę biedna. Sieć sklepów spółdzielczych jest stosunkowo dość zagęszczona i w dalszym ciągu, zwłaszcza na wsi, powstają nowe spółdzielnie. Współpraca ze Spółdzielniami dobra Pokrywają one swoje zapotrzebowania na towary w 75% w zakupach w Oddziale. Na ogół spółdzielnie pracują z dobrymi rezultatami.

Kierownikiem Oddziału od stycznia 1946 r. jest Antoni Siemiński, pracujący w „Społem" od 1929 roku. (a.).

SPÓŁDZIELNIA ROLNICZO-HANDLOWA w OPOCZNIE

Spółdzielnia Rolniczo - Handlowa w Opocznie, Plac T. Kościuszki 13, powstała w 1927 r. Obecnie Spółdzielnia zrzesza 10.000 członków i zatrudnia 46 pracowników. Spółdzielnia posiada swój Oddział w Przysusze i prowadzi działy skupu ziemiopłodów, skór surowych i ziół leczniczych, oraz sprzedaży maszyn i narzędzi rolniczych, materiałów budowlanych, nawozów sosnowych i materiałów włókienniczych.

Obroty Spółdzielni w 1946 r. wynosiły 35 milionów zł, a na rok bieżący preliminowano je w wysokości 60 milionów zł. Powiat opoczyński jest najuboższym powiatem w Polsce, toteż istnienie i działalność Spółdzielni ma naprawdę doniosłe gospodarcze znaczenie dla miejscowej ludności (a.).

I—4766 WARSZAWA, to numer konta „Tygodnia" w P.K.O., a Nr 107 to konto czekowe w Banku Gosp. Spółdz. Oddział Wojewódzki w Warszawie.

Prosimy o wpłacanie bieżącej i zaległej prenumeraty za „Tydzień" na jedno z tych kont, celem uniknięcia przerwy w dostarczeniu pisma.

BRYDŻ I KOBIETA

Wpadł mi do ręki przedwojenny numer jakiegoś magazynu francuskiego. Znalazłam w nim istną rozprawę „psycho - socjologiczną" o bridge'u, czyli o brydżu, mówiąc z kiepska po węgiersku, taką bowiem pisownię i wymowę zaleca słownik ortoepiczny Szobera. „Od Sycylii po biegun północny, od Tokio do Nowego Jorku— tak się zaczyna rozprawa — w wielkich międzynarodowych hotelach, w eleganckich rapidach, na luksusowych transatlantykach, w kabinach samolotów, w kawiarniach i klubach, w domach prywatnych i na zebraniach towarzyskich — wszędzie króluje zdobywczy, cudowny brydż. Brydż — odmładzająca krynica ludzkości, brydż — emocjonująca gra młodych. To nie jest wist, stara i marudna gra starych ludzi. Nie. Właśnie dziewczyna, właśnie młodzieniec najchętniej zasiadają do brydżowego stolika."

Rzeczywiście, przed wojną grał w brydża cały świat, a z nim Polska. Nie wiem, czy podczas wojny namiętność do niego osłabła na świecie; co się tyczy nas, za okupacji graliśmy w brydża zapamiętale; miało to swoje uzasadnienie: brydż odrywał nas od ponurej codzienności okupacyjnej, a z drugiej strony ułatwiał tak zwane kontakty. Czasu powstania warszawskiego grywaliśmy w piwnicach, po powstaniu — na „tułaczce". Czy dzisiaj „cudowny brydż" panuje tak samo wszechwładnie? Nie chcę uogólniać swoich obserwacji, stwierdzam jednak, że wielu z moich znajomych, szczególnie pań, oddaje się tej pasji. Co do mnie, nigdy się nie mogłem brydża nauczyć, i w ogóle do kart nie mam pociągu; w młodości tylko, na krótko, porwały mnie w swe szpony gry hazardowe (oczko), w których nie trzeba myśleć, jeno szaleć, a więc gry, rozżarzające prawdziwie namiętności. Pomału, jak mówi wieszcz, wiek stępił ostrze zbytniego zapału.

Rozprawa francuska o brydżu tłumaczy, czym jest ta gra, daje jej charakterystykę, analizuje jej istotę, wyjaśnia „socologicznie", dlaczego brydż tak się rozpowszechnił: okazuje się że był niewątpliwym wytworem epoki, przejawem ducha czasu, jak niegdyś wint albo mariasz. Każda bowiem rozrywka ludzka, zabawa i przyjemność ma źródła w warunkach, w jakich człowiek żyje: inaczej, powiedzmy, tańczył Grek starożytny, inaczej trubadurzy, inaczej dziadowie nasi, inaczej tańczymy my.

Otóż brydż, to gra ludzi silnych, zaborczych i przemyślnych. Aby zwyciężać w brydżu, trzeba mieć błyskawiczną intuicję i przytomność umysłu, inspirację i zimne wyrachowanie, jasnowidzenie i zuchwałość, graniczącą z bezczelnością. Albowiem brydż jest ciężką walką, nieustannym wytężeniem umysłu, zawrotnie szybkim chwytaniem wszelkich kombinacji, zarówno niebezpiecznych jak pomyślnych, o których trzeba decydować natychmiast, jak wódz na polu bitwy. Brydż wymaga nieprzerwanie napiętej uwagi, natchnionego czuwania, ustawicznego pogotowia i czujności w ataku. Ale tego wszystkiego za mało jeszcze, by odnosić triumfy. Zręczność — więcej, przebiegłość i chytrość muszą wciąż przychodzić z pomocą graczowi: chytrość genialna, chytrość wielkiego dyplomaty, Talleyranda, czy Metternicha. Taka chytrość jest darem natury; niepodobna jej nabyć i wyćwiczyć w sobie: jest to talent wrodzony. Prawdziwy brydżysta, to gracz z urodzenia, jak urodzić się trzeba na wodza, polityka, dyplomatę, zdobywcę i władcę.

Tak by się przedstawiał brydż w analizie przedwojennego francuskiego magazynu. Czy analiza jest wierna, nie mogę sądzić, bo w brydża nie gram: niech opiniują o niej brydżyści. Mnie bardziej zainteresowały wnioski, jakie z analizy zostały wysnute. Dlaczego brydż panuje od Sycylii po biegun północny, od Nowego Jorku do Tokio? Bo nasza epoka, jest epoką ludzi silnych, zaborczych i przemyślnych, urodzonych wodzów, zdobywców, władców, polityków i dyplomatów. Charakter epoki szczególnie się uwydatni, gdy spojrzymy na młodzież — wysportowaną, pewną siebie, świadomą swych możliwości, agresywną i szukającą ujścia dla swej energii, która ją rozsadza. Dobitniej jeszcze wystąpią te przedmioty u dziewcząt, jakże odmiennych nie tylko już od babek swoich, ale nawet od matek. W życiu, w psychice i w typie kobiety nowoczesnej zaszły znacznie głębsze zmiany (zwiastujące olbrzymi postęp) niż w życiu mężczyzny, który tylko doskonali swoją męską naturę, gdy kobieta przeobraziła się z gruntu, stając się — z samicy, matki i kucharki — człowiekiem, równym mężczyźnie. Kobieta przeszłości była szablonowa, urobiona według jednego schematu, więc jednostajna, a tym samym nudna; kształtował ją gorset — symbol skrępowania, w jakim żyła. Jedyną jej radość stanowiło udawanie przed mężczyzną zagadki, skomplikowanej zagadki. Ale zagadkę łatwo było rozwiązać, rozwiązując gorset.

Kobieta nowoczesna jest inna. Pomijając swobodę i samodzielność, cechuje ją bogate zróżniczkowanie. Lekarka, prawniczka, inżynierka, nauczycielka, artystka, stenotypistka, urzędniczka, panna sklepowa i tam dalej, aż do najniższych stanowisk społecznych: nie ma dziedziny pracy, gdzie byśmy nie widzieli kobiety. Przy tym uprawia sporty, dążąc do wspaniałego rozwoju fizycznego, który zapewnia siłę, zdrowie i młodość.

Czy można się więc dziwić, że ludzkość, złożona z takich mężczyzn i z takich kobiet, gra namiętnie w brydża — od Sycylii po biegun północny, od Tokio do Nowego Jorku?

Tak rozstrząsał — psycho-socjologicznie — zagadnienie brydża przedwojenny magazyn francuski, czyniąc to zresztą iście à la française. Wyglądało więc na to, że brydż przed wojną był środkiem do wyzwalania z ludzi silnych nagromadzonej w nich żywotności. A może półśrodkiem, jakąś namiastką wyżycia się? Bo w rzeczy samej — czy można się wyżyć, gdy się siedzi godzinami przy stoliku, w pokoju, którego duszność zgęszcza się bezustannie od dymu z papierosów, wypalanych nie tylko przez silnych mężczyzn, ale i przez równe im kobiety? Toteż należy przypuszczać, że brydż nie mógł zaspokoić pragnień silnej ludzkości. Zapewne znalazły one upust w wojnie — od Sycylii po biegun północny, od Tokio do Nowego Jorku, jak świat długi i szeroki. Jeżeli chodzi o kobietę, wojna zróżniczkowała ją jeszcze bardziej. Do dziedzin jej pracy, wyliczonych powyżej, przybyło wiele nowych, kobieta stała się lotniczką, partyzantką, oficerką, żołnierką, konduktorką, spekulantką, handlarką, szabrowniczką... Ciekawe więc, czy wojna nasyciła już żądze ludzkości, i skutkiem tego brydż przestał być dzisiaj grą opętaną, czy też w dalszym ciągu grają w niego mężczyźni i młodzieńcy, zwłaszcza kobiety i dziewczęta.

Zwłaszcza... Bo zapomniałem powiedzieć, jak się kończą psycho-socjologiczne rozważania brydżowe starego magazynu, zabarwione na sposób iście francuski. Otóż kobieta, nowoczesna, mimo jej samodzielności i zróżniczkowania, nie przestała być kobietą — zaczepną, pełną kokieterii, uwodzicielką, której celem ostatecznym jest zdobyć męża. Brydż podobno był doskonałym pod tym względem „boiskiem". Więc może i po wojnie kobieta go nie zaniecha, tym bardziej, że ilość mężczyzn się zmniejszyła.

Jerzy Wyszomirski

Janusz Odrowąż

Sześć kawałków

I

W porzednim numerze „Tygodnia“ ukazał się mój felieton p. t.: „Sześć kawałów“.

— Gdzie te kawały? — spytał pewien zawiedziony czytelnik. — Felieton satyryczny i koniec.

— Omyłka w tytule — tłumaczyłem. — Taki, można powiedzieć, chochlik drukarski. Miało być „sześć karatów“, a wyszło „sześć kawałów“. Widocznie ob. zecer lubi kawały...

— Ja też lubię! — przerwał.

Zamyśliłem się. Właściwie powinienem wypełnić obiecującą zapowiedź. Tylko, że ja nie znam sześciu kawałów. Najwyżej ze trzy i to bardzo świńskie.

A więc, zamiast kawałów, napiszę sześć kawałków. Ten jest pierwszy. A drugi?

II

Drugi będzie o szkole. Nowy rok już się zaczął, nauczyciel prowadzi lekcję przyrody.

— Pomówimy dziś o owadach. Te dzieci, które były ze mną na Dolnym Śląsku, zwiedziły muzeum ze sławną kolekcją owadów, prawda?

Milczenie.

— No, przypomnijcie miejscowość, gdzie oglądaliśmy rozmaite gatunki owadów razem zebrane?

— Ja wiem — wstaje młody obywatel, który przez całe wakacje nie opuszczał Warszawy. — Ta miejscowość to się nazywa piekarnia.

III

Czy znacie wszystkie skróty? Z pewnością nie. Czy np. oburzy was wiadomość, że ja przed wojną należałem do P.N.K., a dziś jestem zagorzałym przeciwnikiem tej partii?

Należę do P. Ch. Z. G.G. i większość obywateli dziś do tej partii należy. Wystarczy wyjść na ulicę, by przekonać się naocznie, że — w stosunku do czasów przedwojennych — P.N.K. (Partia Noszących Kapelusze) straciła wielu zwolenników. Dziś niemal wszyscy uświadomieni mężczyźni, a nawet nieuświadomione kobiety, należą do P. Ch. Z. G. G.

Niech żyje Partia Chodzących Z Gołą Głową!

IV

A teraz kawałek z cyklu autentycznych obserwacji. Ot, taki sobie, na gorąco zanotowany paradoks.

Byłem wczoraj w ruchliwym „interesie“, należącym do jegomościa, który podczas okupacji nie cieszył się dobrą opinią. Miał zbyt wielkie „chody“ u Niemców, jeździł własnym motocyklem, krążyły nawet pogłoski, że podpisał folklistę. Teraz prowadzi spokojnie swój lokal i — o dziwo! — posiada w tym lokalu telefon! W Warszawie!

Zwróciłem na ten fakt uwagę swemu przyjacielowi.

— Patrz, już ma telefon! Tylu ludzi stara się i nic, a ten od razu dostał!

— Bo folksdojcz — odrzekł przyjaciel.

V

Dwaj obywatele piją sobie w barze. Najpierw pod schabik. Potem pod jajeczko. Potem pod chlebek z musztardą. Wreszcie łyknęli bez zakąski, pod piękne wspomnienia. Poszperali, starczy jeszcze na dwie wódki.

— A pod co wypijemy, Feluś?

— Pod grunt.

— Pod jaki grunt?

— Pod grunt się nie przejmować.

To był piąty kawałek. Zbliżamy się do szóstego. Ten szósty jest najlepszy.

VI

Ale nieprzyzwoity. Niech go wam opowie mój ob. zecer.

SPROSTOWANIE

W Nr 35 (59) „Tygodnia“ mylnie podano tytuł felietonu Janusza Odrowąża „Sześć kawałów“ winno być „Sześć karatów“.

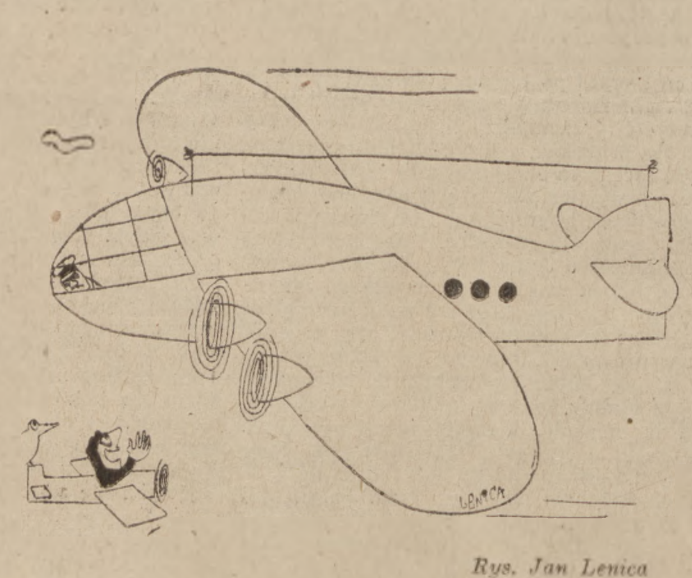
KSIĄŻĘ ZAGINIONYCH KLEJNOTÓW

OSKARŻONY O PRZYNALEŻNOŚĆ DO PARTII HITLEROWSKIEJ

Główna postać „tajemnicy klejnotów królewskich“, książę Ferdynand Schoenaich - Carolath, stanie wkrótce przed sądem Brytyjskiego Zarządu Wojskowego, pod zarzutem zatajenia swej przynależności do partii nazistowskiej. Książę Ferdynand — pasierb zmarłego Kaisera Wilhelma II — aresztowany został w parę godzin po śmierci swej matki, księżny Herminy, wdowy po ex - cesarzu. Brytyjczycy oskarżają go o sfałszowanie części jego Fragebogen (kwęstionariusza), w którym oświadczył, że nigdy nie należał do partii hitlerowskiej. Natomiast urzędnicy brytyjscy twierdzą, że wstąpił do partii w roku 1932. Książę stał się powodem wielkich poszukiwań klejnotów, zameldował bowiem amerykańskiej policji śledczej, że zginęło mu 29 sztuk klejnotów z kolekcji wartości pięciu milionów dolarów, znajdującej się pod jego opieką. Klejnoty te zostały mu przysłane przez matkę.

NA ZDJĘCIU: Książę Ferdynand przed drzwiami celi w Berlinie. Książę ubrany jest w bawarski strój, składający się z krótkich sportowych spodni skórzanych, sportowej koszuli i sandałów.





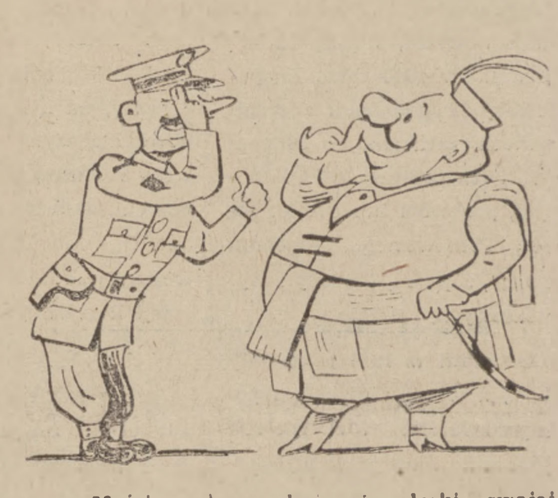
Rys. Jan Lenica

— Cześć, panie kolego...!

PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. Jerzy Zarubo

Teatr dla mas



— Mości panie, wskaż mi z łaski swojej, gdzie tu macie teatr dla mas?



— Pierwszy rząd 500 złotych, piąty rząd 450...
— Nie, nawet na dziesiąty mi nie starczy.



— Trza wyjść z tego teatru dla mas... Chociaż zaraz... Zapytam jeszcze, ile kosztuje program.



— Ja mam opuścić salę? A to dlaczego, mosanie? Na krzesło mnie nie stać, ale program za 20 złociszów kupiłem i na owym programie siedzę!

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150.— zł otrzymał ob. Władysław Matyaszewski (Lublin, ul. Mochnackiego 15) za nadesłane wycinki z pisma „Sztandar Ludu“ Nr 218 z dnia 12 bm.

UNICESTWIENIE PRZESTRZENI

„W ostatnich dniach lipca na linii kolejowej Paryż — Deauville odbyły się próby najnowszego wagonu motorowego, który osiągnął szybkość przeszło 200 km na godzinę. Obecnie dokonywana jest przebudowa tego wozu, dzięki której inżynierowie francuscy spodziewają się zwiększyć jego maksymalną szybkość“.

W związku z tytułem notatki powstaje pytanie: czy zwiększenie maksymalnej szybkości wagonu motorowego — rzeczywiście unicestwi przestrzeń.

* * *

W tym samym numerze w dziale drobne ogłoszenia znajduje się następujące:

„Unieważniam zagubioną kartę Nr 96, wydaną przez Urząd Skarbowy w Krasnym - Stawie na nazwisko Nowiński Denis zam. w Krasnymstawie“.

Jaką kartę zagubił ob. Denis: wizytową, do gry, samochodową, rejestracyjną czy inną?

* * *

„Express Wieczorny“ Nr 220 (430), z dnia 17.8. br. podaje następujące ogłoszenie:

JASNOWIDZĄCY

„Pyffelo Wacław zdumiewająco przepowiada, jaki Twój los, osób oddalonych będzie. Przyjmuje: 11 — 3, poniedziałek, środa, piątek. Przepowiednie opracowuje Medium, zamiejscowym — z fotografii lub pisma Warszawa, Marszałkowska 58 m. 31 (parter, drugie podwórze)“.

Nazwisko ob. Pyfello nie polskie, lecz i treść ogłoszenia, jakkolwiek polskimi słowami pisana — nie polska.

* * *

Ob. Zygmunt Lipowski (Ełk, ul. Ogrodowa 4 m. 2) nadesłał poniższy wycinek z „Głosu Ludu“ z dnia 4.7. br.

TU LĘGNĄ SIĘ DZIKIE ŁABĘDZIE I CZARNE BOCIANY

„W pow. Milicz (płn. wschód woj. wrocławskiego) znajdują się największe w Europie stawy rybne. Powierzchnia stawów zajmuje tu ogółem 7 tys. ha. Stawy są wykorzystywane w 70 proc. — Po pełnym zagospodarowaniu dadzą nam one 1 milion karpi rocznie. Stawy stanowią prawdziwe królestwo dzikiego robactwa, lęgną się tu niesłychanie rzadkie okazy dzikich gęsi, dzikich łabędzi i czarnych bocianów“.

Czyżby rzeczywiście zaliczano obecnie: „dzikie gęsi, dzikie łabędzie i czarne bociany“ do „królestwa dzikiego robactwa?“

Z ŻYCIA ODDZIAŁU „SPOŁEM“ W TARNOWIE

Oddział „Społem“ w Tarnowie powstał w dniu 21 listopada 1940 roku, obejmując swym zasięgiem teren trzech powiatów, a mianowicie: tarnowskiego, dąbrowskiego i brzeskiego, przy stanie dwóch spółdzielni spożywców. Ta znikoma ilość spółdzielni była wynikiem braku zaufania do spółdzielczości. Przyczyną tego była niechlubna działalność sklepów Kółek Rolniczych, które wielokrotnie naraziły swych członków na pokrywanie dużych strat.

Nic zatem dziwnego, że Oddział nasz, jako nowy rodzaj spółdzielni na tym terenie, spotkał się z wyżej wymienionych powodów z niewiarą i niechęcią ze strony miejscowego społeczeństwa.

Stąd też należało mocno zakasać rękawy i wziąć się do wytężonej pracy. Przyjęta przez nas zasada „pracy od podstaw“, to jest oddolnego ugruntowania spółdzielni zarówno pod względem gospodarczym jak i zwrócenie szczególnie bacznej uwagi na kontrolę zewnętrzną, przyniosła wkrótce dodatnie wyniki.

W roku 1941 ilość spółdzielni zwiększa się do liczby 39, przy 414 tysiącach złotych obrotu miesięcznego w Oddziale. W tym to krótkim czasie ugruntowaliśmy Oddział gospodarczo tak, że byliśmy w stanie zakupić parcelę pod budowę własnych magazynów. Rok 1943 przynosi dalszy wzrost ilości spółdzielni do cyfry 59, obrót miesięczny Oddziału wynosił 533 tysiące złotych. W tymże roku Oddział dokonał próby stworzenia Składnicy w Brzesku, pod mianem składu cukru, jednak po zorientowaniu się okupanta co do rzeczywistej działalności składu, nakazano nam jego likwidację.

Odpowiednie pokrycie terenu siecią spółdzielni doprowadza w 1945 roku do zorganizowania składnic „Społem“ w Dąbrowie Tarnowskiej i Brzesku, które w rok później przemianowane zostają na Oddziały, przejmując jednocześnie 65 spółdzielni zorganizowanych na terenach wyżej wymienionych powiatów.

W dniu dzisiejszym tylko na terenie powiatu tarnowskiego istnieje 67 spółdzielni z 24.800 członków; średni obrót miesięczny Oddziału przekracza cyfrę 60.000.000 złotych.

Kierownictwo Oddziału spoczywa w rękach p. Antoniego CHMURY, który prowadzi Oddział od początku jego istnienia.

Dotychczasowe wyniki gospodarcze w skali wojewódzkiej postawiły ten Oddział na pierwszym miejscu wśród Oddziałów powiatowych. W skali ogólnokrajowej w miesiącu marcu bieżącego roku Oddział „Społem“ w Tarnowie był na dziewiątym miejscu wśród 300 Oddziałów.

Te dwa momenty świadczą o dużym wysiłku w kierunku jak najlepszego wywiązywania się ze swych obowiązków.

Na terenie miasta Tarnowa istnieje poza tym młyn i wytwórnia octu „Społem“.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Z okazji pięćdziesiątej rocznicy śmierci Henryka von Stephana (7.1.1831 — 8.4.1897), głównego poczmistrza niemieckiego (od 1875), założyciela muzeum pocztowego w Berlinie (1872 r.) i jednego z twórców Światowego Związku Pocztowego, wyszły w Niemczech dwa znaczki okolicznościowe bez dopłaty z jego podobizną: 24 fen. (pomarańczowo-brązowy) i 75 fen. (ciemno-niebieski). Oba znaczki znajdują się w obiegu w angielskiej, amerykańskiej i w radzieckiej strefie okupacyjnej, a nieważne są we francuskiej (jak i wszystkie inne znaczki).

Do drugiego wydania międzystrefowego, które składało się z 12, wartości od 2 do 84 fen. (4 motywy: ogrodnik, siewca, murarz z chłopką i robotnik), doszły trzy znaczki markowe: 1 mk. (brunatno-oliwkowy), 2 mk. (czarno-lila) i 3 mk. (czerwono-brązowy).

Seria dla Saary, o której pisałem w Nr 32 (56) „Tygodnia“, miała następujące nakłady: 2 fen. — 2.000.000 szt.; 3 fen. — 1.400.000 szt.. 6 fen.—3.000.000 szt.; 8 fen. — 2.400.000 szt.; 10 fen. — 3.000.000 szt.; 12 fen. — 12.000.000 szt.; 15 fen. — 1.500.000 szt.; 16 fen. — 3.000.000 szt.; 20 fen. — 4.000.000; 24 fen. — 24.000.000 szt.; 25 fen.—1.000.000 szt.; 30 fen. — 1.500.000 szt.; 40 fen. — 1.500.000 szt.; 45 fen. — 1.100.000 fen.; 50 fen.—1.000.000 szt; 60 fen.—1.000.000 szt.; 75 fen. — 3.000.000 szt.; 80 fen. — 1.500.000 szt.; 84 fen. — 3.000.000 szt.; 1 mk. — 2.000.000 sztuk.

Witold Orłowski

KRZYŻÓWKA POZAKONKURSOWA

P. Erazmowi Grójnackiemu za krzyżówkę z Nr 33 „Tygodnia“ z dn. 17.8. 1947 r. — poświęcam —

Ludwik Jasiński

Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 20.9.47 r. Za trafne rozwiązania, Redakcja przeznacza 3 nagrody książkowe.

ZNACZENIE WYRAZÓW POZIOMYCH:

A. 1. Nazwa Antychrysta. A. 7. Nazwa pustyni w Azji Środkowej, pokrytej słoną gliną. B. 3. Roślina sasanka. C. 1. U starożytnych machina wojenna. C. 7. Wyspa na morzu Egejskim. D. 1. Plemię Indian Am. Płd., zamieszkujące Ziemię Ognistą. D. 5. Zdrobniałe imię żeńskie. D. 9. Niem. wschód. E. 1. Badacz natury, przyrodnik. F. 1. Inicjały słynnego skrzypka czeskiego, 1857 — 1925 r. F. 4. Motyl z rodz. południc. F. 10. Symbol chemiczny pierwiastka rutenu. G. 1. Człowiek krzewiący moralność. H. 1. Papuga. H. 5. Góra w Azji Mniejszej, na płd. od ruin starożytnej Troi. H. 9. Nadzorca w Turcji. I. 1. Zbiór rzeczy, żywności, przygotowanych i zachowanych do przechowania. I. 7. Ang. milczący. J. 3. Miasto w stanie Pensylwanii (St. Zjedn. Am. Płn.) K. 1. Miasto w Mezopotamii nad rz. Tygrysem. K. 7. Część ruchoma w prądnicach, wariometrach.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
A						■					
B		■								■	
C						■					
D				■				■			
E											
F		■								■	
G											
H				■				■			
I						■					
J		■								■	
K						■					

ZNACZENIE WYRAZÓW PIONOWYCH:

1. A. Zmiana nazwiska, przez przekład na inny język. 2. C. Powtarzanie tych samych wyrazów na początku kilku zdań po sobie idących. 3. A. Polityk francuski, ur. 1749 — 1833. Min. sprawiedliwości po Dantonie. 3. G. Miasto w Estonii. 4. A. Zaimek. 4. E. Dopływ Oki. 4. I. Lewy dopływ Renu. 5. A. Chrześcijanin nie należący do żadnego obrządku. 6. D. Malarz polski historyczny. Twórca obrazu „Śmierć Czarnieckiego“, wyst. w Krakowie w 1857 r. 7. A. Publiczna gra hazardowa podczas wyścigów konnych. 8. A. Nazwa złego ducha u Indian brazylijskich. 8. E. Znana marka aparatów radiowych. 8. I. Miasto w Finlandii. 9. A. Jedna z wysp. należących do Dodekanezu. 9. G. Gatunek narcyza. 10. C. Część stroju kawalerzysty. 11. A. Artysta, zajmujący się odnawianiem dzieł sztuki.

NOWY KONKURS „TYGODNIA”

Dziś rozpoczynamy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 16 listopada br. Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania, przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia“, Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 1 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z Konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

NOWY KONKURS „TYGODNIA“

Zagadka piąta zamieszczona w Nr 33 (57), chociaż na pozór łatwa, przysporzyła jednak wiele kłopotu licznym naszym czytelniczkom i czytelnikom, biorącym udział w rozwiązywaniu ilustrowanych przysłów.

Spośród kilkuset nadesłanych odpowiedzi, wyłowiono zaledwie 15 dobrych.

Prawidłowe rozwiązanie brzmi: „Do serca mężczyzny najlepiej trafić przez żołądek“.

W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Jadwiga Srokowa — Gdynia, ul. Gdańska 29, Dział Transportowy „Społem“

Izabella Ciebierówna — Rzochów pow. Mielec.

Apolonia Rarot — Łódź, ul. Narutowicza 127.

Teresa Krejpowiczówna — Włodawa n-B, ul Niecała 2. Spółdz. spożywców „Jedność“.

Wiesława Surdyk — Radziejów Kujawski pow. Nieszawa, ul. Kościuszki 3.

PRENUMERATĘ K[illegible] TALNĄ „TYGODNIA“

Andrzej Wernic — Warszawa, ul. Wiśniowa 48 — 5.

Maria Kłaputowa — Opole, ul. Piastowska 22.

Maria Stasiukowa — Leśna pow. Lubań, fabr. „Concordia“.

Zofia Kaczmarkowa — Kołobrzeg, ul. Krakowska 1.

Adam Ciebiera — Rzochów, pow. Mielec.

Michalina Hoeffnerowa — Kościan, ul. Rynek 25.

Stenia Micewicz — Zbąszyń, ul. 17 stycznia 73.

Jadwiga Kopycha — Sochaczew, Bank Gosp. Spółdzielcz.

Natalia Krzemińska — Augustów, Rynek 5.

Anna Grątkowska — Kościan — Poznańska 1.

Wszystkie nagrody wysłane zostaną pocztą.

Poniżej zamieszczamy zagadkę Nr 7.



Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia należy przesłać do Redakcji „Tygodnia“ do dnia 16 września br.

Wśród czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi — rozlosowanych zostanie:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH ORAZ 10 NAGRÓD — PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA“

Rozwiązanie zagadki szóstej w następnym numerze.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“

Redaguje: Zespół redakcyjny

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m 8

Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12

TELEFONY Redakcji 86-164
Administracji 88-71[illegible]

Redakcja rękopisów nie zwraca

Prenumerata miesięczna 75 zł pół roczna — 450 zł. roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr [illegible] 476[illegible]

Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.

Ogłoszenia [illegible] wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł. [illegible] 50% drożej

R S W „PRASA“, Z G W-wa Smolna 12 B-38031

Tadeusz Łopalewski

PIOSENKI Z WARSZAWSKIEGO PODWÓRKA

To będą piosenki z warszawskiego podwórka takiego, jakim było ono w latach 1905 — 1912, podwórka w okolicach Powązek, Dzielnej, Leszna i Elektoralnej. To będzie wspomnienie z dzieciństwa w Warszawie, która nie znała jeszcze elektrycznych tramwajów. Na ulicach pilnowali porządku „stójkowi“ z szablami w czarnych pochwach, w mundurach czarnych z czerwonymi wypustkami, ozdobionych czerwonym sznurkiem od gwizdka, stójkowi latem ubrani w białe „rubaszki“. Porządkiem na podwórkach zajmowali się jeszcze zwykli stróże — nie dozorcy — odziani do roboty w długie niebieskawe fartuchy, zaopatrzeni zawsze w miotłę, potężną śmietniczkę do zgarniania końskiego nawozu i konewkę do polewania bruków.

O zmierzchu zjawiała się na mieście jeszcze jedna charakterystyczna dla owych czasów figura: człowiek z płonącym kagankiem na długim drążku. On to szybko chodził od latarni do latarni i przy pomocy swego drążka zapalał sinawe światełka gazowych lamp ulicznych.

Ogłuszająco turkotały po kocich łbach żelazne koła dorożek, sensacją w tych stronach był przejazd dorożki na gumach, przeważnie parokonnej. My, malcy, którzy już orientowaliśmy się nieco w magicznej sile pieniądza, wiedzieliśmy, że taką „frajdę“ opłaca się już nie kopiejkami, lecz rublami.

Początek mojej ery podwórkowej otwiera epizod, utrwalony w pamięci pięcioletniego wtedy warszawiaka. Noc. Pukanie do drzwi. Matka zapala lampę naftową lampkę i wychodzi do przedpokoju otworzyć. Ja za nią.

— „Kto tam?“

— „Swój!“

Matka otwiera drzwi. Na progu ukazuje się młody mężczyzna z olbrzymim nożem w ręku... Ale to nic strasznego! To syn rzeźnika z dołu przyszedł obudzić ojca i przypomnieć mu, że ma wartę w bramie. „Czarna sotnia“ podobno hula po Warszawie i urządza pogromy. Lokatorzy organizują więc samoobronę... Wkrótce minęły porewolucyjne strachy, dzieci znowu bezpiecznie mogą bawić się na podwórkach.

Jak się bawią?

Repertuar gier podwórzowych jest chyba nie mniej urozmaicony, niż repertuar gier towarzyskich i salonowych.

Dziewczęta grają „w klasy“, a więc skaczą na jednej nodze po kwadratach wyrysowanych patykiem na piasku lub kredą na chodniku.

Która prędzej się zmęczy, a straci równowagę i oprze się drugą stopą o ziemię — ta przegrała.

Chłopcy bawią się inaczej. Grają w guziki czyli „w mońce“ (moniec — to najcenniejsza odmiana guzika mosiężnego od munduru wojskowego lub szkolnego, a więc „z orłem“), grają „w kókso“ lub „numerówkę“ o znaczki pocztowe. Wszystkie te gry wymagają celności ręki i oka. Na przykład gra w mońce. Jeden partner uderza guzikiem o mur lub parkan, by guzik upadł możliwie najdalej. Drugi czyni to samo, starając się, by jego moniec upadł jak najbliżej tamtego. Bo potem mierzy się odległość między nimi rozczapierzoną dłonią. Jeżeli skrajne palce dłoni dotykają obu guzików — ten drugi wygrał i zabiera z miejsca fant. Ach, grywało się w te lata i przegrywało nieraz cały komplet guzików odprutych w hazardzie od własnych majtek. I dostawało się później w domu, dostawało w tę właśnie część ciała, której zdewastowane spodnie trzymać się nie chciały.

Lecz oto podwórkowe bractwo porzuca swe „klasy“, „numerówki“ i „guziki“, skupiając się dokoła wędrownej śpiewaczki. Kobiecina w obszarpanej chustce na ramionach, w wydeptanych jakby ze śmietnika świeżo wydobytych trzewikach, staje po środku podwórza, podnosi oczy ku wyższym piętrom oficyn, jakby stamtąd spodziewała się najhojniejszych datków i zaczyna nosowym głosem smętną piosenkę:

Albo mi dajcie, albo nie dajcie,
Albo mi życie odbierzcie,
Niech ja nie żyję biedna sierota
Samiutka jedna na świecie.

Skończyła. Rozejrzała się po oknach oficyn. Nic. Żadnego oddźwięku. Wobec tego pociąga markotnie nosem, przestępuje z nogi na nogę i zaczyna numer drugi, jeszcze rzewniejszy;

Nad brzegiem morza w chruścianej [chatce,
Gdzie woda skały podmywa,
Maleńki synek siedział przy matce
I tak się do niej odzywa:
Ach droga mamo, gdzie jest mój tata?
Czemuż on do nas nie wraca.
Przy nim weselsza byłaby chata,
I milsza byłaby praca...
Ach drogi synu! Ty nie masz ojca.
Ty jesteś synem sternika...

Dalej nie pamiętam. Wiem tylko, że była to pieśń o bohaterskim czynie sternika, który zginął na posterunku, prowadząc wśród burzy okręt. Może nasi maryniści mogliby coś więcej powiedzieć o tym utworze.

Gdzieś otworzył się lufcik. Czyjaś ręka zapukała w framugę, by zwrócić uwagę pieśniarki. I oto leci zgóry parę miedziaków zawiniętych w papierek i z tłumionym brzękiem uderza o bruk podwórka. Potem jeszcze jeden taki pocisk z innego okna. Śpiewaczka musi zadowolić się tym skąpym plonem i wędrować do następnej kamienicy.

Ba! Gdyby znała jakieś nowsze utwory, albo przyszła z akopaniamentem, w jakimś większym zespole, z pewnością uzbierałaby więcej. Bo lata idą, Warszawa się cywilizuje, po Krakowskim, Nowym Świecie i Marszałkowskiej chodzi już elektryczny, czerwony tramwaj, w „Dolinie Szwajcarskiej“ otworzono „skating ring“, warszawiacy jeżdżą na wrotkach, w operetce Messalówna i Redo entuzjazmują publiczność swym śpiewem i tańcami w „Cnotliwej Zuzannie“ i „Manewrach jesiennych“. Na podwórzu zjawia się młodzieniec w kusej marynarce i cyklistówce z guziczkiem na czubku. Akompaniuje sobie na mandolinie i śpiewa, lekko tylko fałszując:

Stasieczka,
Dzieweczka
Przypięła kółeczka,
Po torze mknie jak po szkle!
Spotyka
Henryka,
Miłego chłopczyka,
Więc perskie oko mu śle...
Hopla! Stasieczko, jeszcze raz...

I tak dalej... W oknach otwartych siedzą już wszystkie kuchty rozpromienione i uśmiechnięte. Taka piosenka — to przynajmniej. Tenor uchyla cyklistówki, ukazując wypomadowaną grzywkę, robi filuterne oko do pań, które sypią weń kopiejkami w papierkach, a po które on nie raczy się nawet schylić. To my, dzieci podwórza, wyręczamy go w tym na wyścigi i z szacunkiem lokujemy podniesione z ziemi honorarium w kieszeniach jego obcisłej kapotki. A niech Bóg broni od pokusy, by w zamieszaniu zwędzić jeden pieniążek dla siebie na cukierki. Śpiewak ma wzrok niesłychanie bystry. Niech no tylko zauważy taki niecny zamiar u któregoś z wisusów, wnet mu wytnie takiego prztyka, że biedakowi do wieczora będzie w uchu dzwoniło.

Obfitość datków po pierwszej plosence mogłaby właściwie zadowolić ulubieńca podwórek, lecz on też jest hojny i bezinteresownie dorzuca jeszcze jeden numer z towarzyszeniem mandoliny.

Zuzanno, ach!
Ja kocham cię aż strach!
Na jawie czy we śnie
Ja zawsze ko - cham cię!
Zuzanno ach! Zuzanno ach!
Ja kocham cię, ja kocham cię
Aż strach!

Nie sądźmy jednak, że muzykalny młodzieniec nie umie nic ponadto. Na sąsiednim podwórku wykona sentymentalną, lecz pełną ognia „Trójkę“, wiernie przetłumaczoną z rosyjsko - cygańskiego „romansu“.

Ach, ta trójka! śnieg puszysty,
Ciemna noc i wicher dmie.
Świeci miesiąc hen! srebrzysty
Młoda para sanną mknie.
On jej szepce zapewnienia,
Wzrok namiętny topiąc w niej,
To jej duszę rozpłomienia,
Drży pod czarem nocy tej...

Widywało się wtedy innego jeszcze artystę podwórkowego. Był to garbus z harfą. Chodził w czarnej pelerynie, w takimż kapeluszu z wielkim rondem, nosił fantazyjny krawat w kształcie kokardy. Artysta w każdym calu. Gdy gestem odrzucił wstecz jedną połę peleryny i zdjął z ramienia harfę wiszącą na pasie, było w nim zaiste coś demonicznego, co nawet stróża wiecznie pokrzykującego na wędrownych muzykantów do milczenia i szacunku zmuszało.

Garbus śpiewał przeważnie pieśni patriotyczne. A więc tę o młodzieńcu, wywożonym kibitką na Sybir, pieśń zaczynającą się od słów:

Szumny wiatr wionął po pustym [stepie
I śnieżną zamieć do góry wzbił.
Tam biały tuman rwie się i trzepie
Jak huraganu rzęsisty pył...

Byli słuchacze, na których te właśnie jego śpiewy wywierały najgłębsze wrażenie: jacyś starsi przeważnie panowie, o których tu i ówdzie krążyły głuche plotki, że oni właśnie kiedyś, gdzieś na Sybirze, w jakiejś katordze...

Dziesięcioletnie i dwunastoletnie łobuzy nie rozumiały znaczenia tych słów. Interesowały ich głównie przygody Jacka Teksasa, Buffalo Billa i Sherlocka Holmesa, opisywane w niezliczonych zeszytach, zdobnych w kolorowe okładki. Można je było nabyć u każdego gazeciarza na rogu. Czytywało się je z niesłychanym napięciem, nerwowo, ogryzając brudne paznokcie — w kątach podwórza i w szkole pod ławką i na klatce schodowej — byle prędzej skończyć i wymienić (za dopłatą) na inny zeszyt.

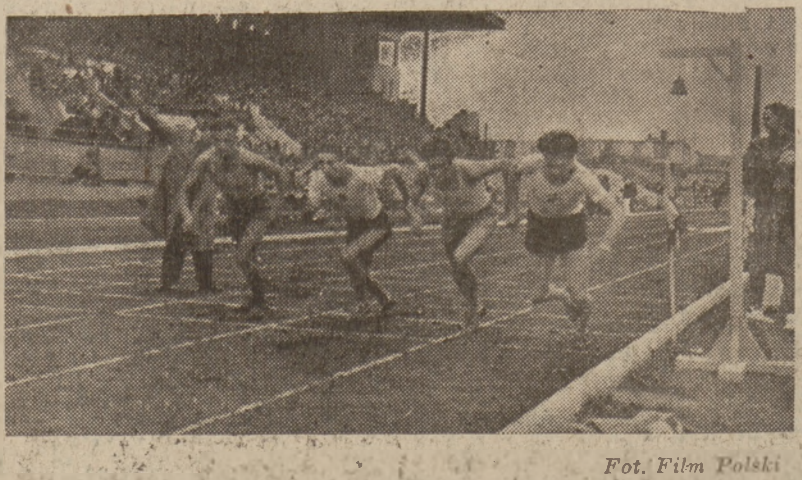
Dorośli mieli wtedy kryminalne sensacje w sprawozdaniach z procesu zakonnika Damazego Macocha, który popełnił morderstwo i kradzież w klasztorze na Jasnej Górze, potem z procesów ordynata Bispinga i hrabiego Ronikiera, oskarżonych również o morderstwa.

Na temat tych zdarzeń krążyły również piosenki po warszawskich podwórzach, niestety, nie zapamiętałem tekstu żadnej z nich.

ZAWODNICY CZESCY W WARSZAWIE



Dyr. WOZLA — Askenas wręcza statuetkę „Syreny“ kpt. drużyny czeskiej p. Fiselerowi na zawodach Praga Czeska — Warszawa.



Fot. Film Polski

Start do biegu na 800 m. Od prawej: Winter (Praga), Stanszewski (W), Fucikowski (Pr.) i Statkiewicz (W). Wygrał bieg Winter.

TYDZIEŃ

W najbliższych numerach: Tomasz Domaniewski, Włodzimierz Dzwonkowski, Karol Małcużyński i inni